

# W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 2 (44)

Jerozolima, 16 stycznia 1945 r.

Rok III

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

## CUIUS REGIO EIUS RELIGIO

„Margrabia Wielopolski pojął Polskę jako człowieka, umiającego geografie, to jest nie zakrywający sobie oczu, że my, zwycięzcy czy pobici, będziemy graniczyć z narodem Moskiewskim.

Hrabia Zamoyski, jako najczystsze imię w Polsce dziedzic, unieruchomiony został przez symboliczność imienia Zamoyskich i pojął Polskę jako historyk, słowem: margrabia jak geograf — hrabia jak historyk“.

Cyprian Norwid w liście do Łucji Rautenstrauchowej, 1863 r.

Prezydent Roosevelt powiedział na jednej z ostatnich konferencji prasowych w Białym Domu, na zapytanie, czemu oryginał Karty Atlantycznej nie został umieszczony w Muzeum Waszyngtońskim, że dokument ten właściwie nie istnieje, dodał przy tym parę zabawnych szczegółów o tym, jak dyplomaci południowo-amerykańscy zgłaszali się do kancelarii Prezydenta dla podpisania go i nie mieli czego podpisać, gdyż oryginał Karty Atlantycznej to kawałek papieru, zawierający szereg poprawek i skreśleń.

„Dobry żart tyfna wart“, mówi polskie przysłowie. Karta Atlantyczna nie może być żartem, gdyż kosztowała zbyt wiele krwi i zbyt wiele nadziei różne narody świata, a sami Amerykanie wydali też nie mało tyńfów na zbrojenia i wojnę, której hasłem ideowym była też Karta Atlantyczna.

Nie chodzi, oczywiście, o stronę formalno-prawną Karty Atlantycznej. Tekst jej ogłoszony został we wspólnej deklaracji Zjednoczonych Narodów na początku r. 1942 i zapewne oryginał tego aktu gdzieś istnieje. Najśłynniejsze dokumenty świata miały nieraz szatę zewnętrzną bardzo mizerną. Spośród kilkunastu baronów, którzy wraz z Janem bez Ziemi podpisywali angielską *Magna Charta Libertatum*, trzech zaledwie umiało pisać. Kilkunastu innych znaczących krzyżami swój akces do tej konstytucji.

Trudno natomiast ukrywać, że żart Prezydenta Roosevelta wypowiedziany był w chwili, gdy miliony ludzi zaczynają wątpić nie co do formy Karty Atlantycznej, lecz co do istotnej wartości jej treści.

Pisząc o nowej ofensywie niemieckiej na Zachodzie, dzienniki amerykańskie nie tają zdumienia, że w szóstym roku wojny Niemcy zdolni są do zgromadzenia dostatecznego potencjału wojennego i ludzkiego dla przedsięwzięcia podobnej akcji. W Niemczech pracują miliony robotników cudzoziemskich. W armii niemieckiej służy setki tysięcy nie-Niemców. Wydajność ich pracy, czy chęć do walki zależy w bardzo znacznym stopniu od wiary w przyszłość Europy i świata w razie zwycięstwa Sprzymierzonych. Karta Atlantyczna była symbolem lepszej przyszłości. Jeśli zasady jej zostaną podważone, — co będzie mogło ją zastąpić?

Ofensywa niemiecka zostanie zatrzymana. Klęska wojskowa Niemiec wydaje się być nieuchronna, — lecz oto przed skołataniem przez wojnę światem staje większe niebezpieczeństwo chaosu ideologicznego, czy nawet w niektórych wypadkach przyjęcia za podstawę przyszłego ustroju głoszonej przez Niemców psychologii siły. Porzucenie hasła rewolucyjnych, zagubienie idei wolności, przejście w dziedzinie ideologicznej do obozu przeciwnego kosztowało Napoleona ruinę jego projektów politycznych. Sprzymierzonym nie grozi klęska pod Waterloo, ale rysuje się obraz Europy niechętniej, czy nieufnej wobec ich planów. Narody Europy chcą spokoju, chcą powrotu do prawa i zasad moralnych, chcą minimum wolności, pozwalającego na zachowanie jeszcze pewnej urody życia. Narody Europy nie wiedzą, co należy rozumieć dzisiaj przez pojęcie demokracji, które bywa tak bardzo rozciągnięte. Lecz narody Europy czują i myślą podobnie pod Akropolą, pod Kapitolą, czy pod Wawelą.

Już w pierwszym okresie po ataku niemieckim na Rosję w r. 1941, w czasie gdy ustalane były zryby sojuszu wojskowego i politycznego Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego, zaznaczyły się wyraźne różnice między koncepcją rosyjską a angielską celów wojny. Prasa rosyjska pisała o wojnie z faszystwem i hitleryzmem. Prasa angielska o wojnie z Niemcami i Włochami.

Pochód wojsk niemieckich pod Moskwę i Stalingrad, ciężkie walki lat 1941 — 1943, wiele konferencji międzyallickich, liczne peregrynacje p. p. Churchilla i Edena *ad limina Stalinorum* zmieniły, zdaje się, nastawienie polityki sowieckiej. Z szeregu wypowiedzi czołowych rosyjskich mężów stanu i prasy oraz radia moskiewskiego można wnioskować, że Rosja uważa obecnie za niebezpieczeństwo dla Europy nie tylko ustrój hitlerowski, ale Niemcy jako takie. Natomiast Moskwa zachowała sobie przywilej określenia, kto jest, a kto nie jest faszystą. I tak wolnym od nalożonych faszystów okazał się marszałek Bądóglio, książę Addis-Abeby, który przez rząd sowiecki uznany został za prawowitego szefa demokratycznego rządu włoskiego, czy ks. Humbert, naczelny wódz wojsk włoskich w wojnie przeciwko Francji w r. 1940, obecnie namiestnik Królestwa. Ambasador sowiecki w Rzymie jest jedynym przedstawicielem mocarstwa, akredytowanym przy królu Włoch. Nie ma wątpliwości co do antyfaszystowskich tendencji króla Michała, czy szeregu generałów i polityków w Rumunii, kraju, który jeszcze nie dawno wysyłał swoje dywizje na Krym czy na Kaukaz. Tylko wobec naszych przywódców politycznych i ministrów w Londynie istnieje wątpliwość.

Ostatnio wyszło na jaw jednak, że załatuje także faszystwem grecki premier, Papandreou, i belgijski premier, Pierlot, który tak niepotrzebnie chronił się na wygnaniu w Londynie. Wprawne oko komentatora politycznego radia moskiewskiego dostrzegło wyraźnie, że polityka jego może robić przyjemność jedynie hitlerowcom.

Przez lata całe opowiadano w Niemczech anegdotkę, że gdy Goeringowi, który dla swoich prac w dziedzinie gospodarczej używał Żydów, krwawy rasista Streicher zarzucał brak logiki w wykonaniu ustaw norymberskich, gruby marszałek Rzeszy odpowiedział gniewnie: „*Wer ein Jude ist, bestimme ich*“ (Tylko ja sam decyduję o tym, kto jest Żydem). O tym, kto jest faszystą, decydują artykuły moskiewskiej *Prawdy*.

A kto jest demokratą? Przecież Sprzymierzeni walczą o zwycięstwo zasad demokratycznych?

Patrząc na rozwój wypadków w różnych krajach Europy, można byłoby przypuszczać, że pojęcie demokracji ustalane jest przez generałów, dowodzących wojskami Sprzymierzonych w danym kraju.

W pewnym okresie wojny mówiło się i pisało wyraźnie o strefach bezpieczeństwa, czy strefach wpływów mocarstw. Następnie, pod wpływem krytyki, która wykazała zbyt wielkie podobieństwo tych teorii do hitlerowskich zasad przestrzeni życiowych, zaniechano publicznego roztrząsania tych spraw. Gdzieś pod suknem muszą jednak tkwić jakieś oparte o nie projekty porządku rzeczy w świecie po wojennym. Czasem głosy prasy zdradzają, że nie zostały one zarzucone. Ostatnio *Wojna i Raboczyj Klas* znów przypomina pogląd, że do strefy bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych należy kontynent południowo-amerykański, że Rosja musi dbać o to, jak się ukształtują stosunki polityczne i wojskowe w Europie Środkowej i Wschodniej. Z artykułu tego wynikałoby, że Anglia, która, jak wiadomo, jest tylko niewielką wyspą, potrzebowała by stosunkowo najmniejszej strefy bezpieczeństwa. Wystarczyłaby jej bodaj Belgia i Holandia.

W pojęciu polityków rosyjskich i poważnej części polityków zachodnich Polska leży w strefie bezpieczeństwa Rosji. Ostatnio stwierdził to francuski minister spraw zagranicznych, Bidault, po swym powrocie z Moskwy: „Dążeniem Rosji jest, by Polska nie mogła być wciągnięta przez Niemcy do ich gry politycznej. Z tego względu Rosja pragnie Polski silnej i przyjaznej dla opierania się zakusom niemieckim“.

Niezależnie od tego, czy na jakichś przyszłych konferencjach podział linii wpływów pomiędzy mocarstwami nastąpi w sposób wyraźniejszy, czy też ze względu na wrażliwość społeczeństw demokratycznych realizacja zamierzeń poszczególnych mocarstw odbywać się będzie bez jakiegos ogólnego uzgodnienia, a jedynie na zasadzie szeregu faktów dokonanych, — jasnym jest, że dla przyszłych losów Polski najważniejszym będzie układ stosunków jej z Rosją.

Stosunki polsko-rosyjskie liczą sobie przynajmniej pięćset lat. Przez pierwsze ich dwa stulecia — to my idziemy na wschód, zajmując ziemie ruskie i nosząc daleko na Wschód wpływy cywilizacji łacińskiej. Jeśli najdalej na wschód wysunięte budowle gotyckie znaleźć można mniej więcej wzdłuż granicy Polski z r. 1939, to wpływy baroku polskiego sięgają daleko w głąb Ukrainy.

Okres wypędzenia Polaków z Moskwy jest właściwie początkiem nowoczesnych dziejów Rosji. Być może, że wiele kompleksów i wiele niechęci rosyjskich w stosunku do Polski mieści się w tej zaczerpniętej z książek szkolnych i tkwiącej gdzieś na dnie świadomości okoliczności.

Potem był potop i pokój andruszowski, był Wiedeń i traktat Grzymułtowski. O Janie Sobieskim zwykło być mawiać Mikołaj I, cesarz Wschodniej, że był to obok niego samego najgłupszy władca w dziejach: obydwa pomogli Austrii. Jan III ośabił Polskę przez wojny przeciwko Turcji i pozwolił na wyrośnięcie potęgi rosyjskiej i konsolidację Prus. A po interwencji Mikołaja w r. 1849 Austria, — według słów Metternicha „zadziwiła świat swoją niewdzięcznością“.

Sąd historyków polskich jest bardziej względny dla Sobieskiego. Nie zmienia to faktu, że wskutek siedemnastowiecznych wojen Polska, Turcja i Szwecja spadają w roli swej wobec nowowzrosłej potęgi: Rosji. I oto już Niemcy Sejm roku 1717 obraduje pod groźbą rosyjskich bagnów.

Pacyfizm Polski w XVIII gotów był „stać nierzadem“, — byle swych sąsiadów nie drażnić czy niepokoić. To też rozbiory wydawały się nawet pokoleniu, wychowanemu w zimnych, racjonalistycznych zasadach Wieku Oświecenia, przestępstwem przeciwko między-narodowej moralności. Katarzynie II i Fryderykowi II udaje się pozyskać najpiękniejsze umysły Europy w sposób raczej prosty: Diderot dostaje na swą bibliotekę 80.000 franków, d'Alembert — dożywotnią rentę, Voltaire — liczne hojne datki zarówno od swego przyjaciela z Sans Souci, jak i od „Semiramidy Północy“. Jeden Jean Jacques Rousseau decyduje się na napisanie swych *Considérations sur le gouvernement de Pologne* w sensie przychylnym dla Polski, ale zastrzega się, że praca jego nie będzie ani rozpowszechniana, ani publikowana. Gdy Wielhorski nie dotrzymuje tego warunku dyskrekcji, genewski filozof bardzo się gniewa, bo narażać się przez to potężnym i bogatym władcem Prus i Rosji.

W Anglii prasa początkowo bardzo krytykuje obojętne stanowisko rządu wobec rozbioru Polski. Niepopularny król Jerzy III potępiany jest za lodowaty ton listu do Stanisława Augusta w odpowiedzi na jego protest przeciwko pierwszemu rozbirowi. W sprawie tego nieprzychylnego tonu prasy angielskiej wobec Rosji pisze Katarzyna II do swego ambasadora w Londynie, Woroncowa: „Są na to trzy sposoby, pierwszy — to zaprosić dziennikarza angielskiego na spotkanie i wychłostać go, drugi — to kupić go, trzeci — to zniszczyć jego dziennik“. Hrabia Woroncowa pisze w swych pamiętnikach, że zmusił do milczenia przynajmniej dwadzieścia dzienników angielskich.

W ciągu pięciu ćwierci stulecia Polski w okowach naród niejednokrotnie zrywał się do walki zbrojnej z rozbiorcami, a przywódcy jego wielokrotnie szukali dróg porozumienia politycznego.

Jeszcze ze schyłku XVIII datuje się próba Dąbrowskiego doprowadzenia do przymierza polsko-pruskiego przeciwko Rosji. Był to jedynie krótkotrwały moment poszukiwania współpracy z Prusakami.

Prób oparcia się, czy porozumienia z Rosją było więcej.

Politycy, generałowie, statyści polscy lat ponapoleońskich pamiętali dobrze zawiady, sprawione przez obietnice, rzucane pohopnie przez wielkiego cesarza Francuzów. Wydeptali pola bitew zachodniej Europy po to, by widzieć, jak odwróciła się ona następnie od Polski. W budowanym na Kongresie Wiedeńskim porządku, dla Polski uczyniono wyjątek *in minus*. Nie objęto jej zasadą legitymizmu, która postanawiała powrót do stanu rzeczy z r. 1792. Prawo miało rządzić Europą, lecz Polska została z tego prawa wyjęta.

Toteż społeczeństwo polskie Królestwa Kongresowego szukało szczerze oparcia w Rosji, tym bardziej, że wiedziano, iż liberalizm Aleksandra I zmusza i innych zaborców do

### W numerze:

Z. Grabowski: Mózg i krew. — Kolumna francuska. ww.: Z prasy francuskiej. — A. Janta: Z notatnika. — W. Broniewski: Bania z poezji. Powieść poetycka. Część druga. — bl.: Trzynastu „czarnych“ kardynałów. — G. Ferrero, tłumaczył T. Terlecki: Demokracja praworządna. — M. Kuncewiczowa: Zmowa nieobecných. Powieść. Część druga. — Scrutator: Polonica w ksiązkach angielskich. — S. H. Dominik: Opinie angielskie. — Z prasy obcej. Monarchia i komunizm we Włoszech. — Kronika filmowa. J. Martyka: Wątpliwa sielanka. — ww.: Przegląd polityczny.

lepszego traktowania Polaków. Wola współpracy z Rosją przebiega ze wszystkich poczynań polskiej administracji Królestwa, wyraźna jest w tonie przemówień sejmowych. Kiedy rządy Nowosilcowa i szaleństwa W. Ks. Konstantego doprowadzają do rozpaczliwej, bardziej krewką część społeczeństwa, — politycy, duchowieństwo, generałowie doradzają spokój. Gdy wybuch nastrojów społeczeństwa wydaje się już nieuchronny, sejm, który pół roku później uchwalił detronizację Mikołaja, postanawia wzniesić pomnik Aleksandrowi I.

Niepowodzenie w pokojowym układzie stosunków polsko-rosyjskich przypisać należy zygakowi polityki rosyjskiej. Aleksander chciał zbliżenia Rosji do Europy i bał się go ze względu na ustrój wewnętrzny cesarstwa. Administracja carska składała się z ludzi, nie cierpiących wszelkich nowinek wolnościowych. Bunt Siemionowskiego pułku, spisek dekabrystów wydają się potwierdzać słuszność tezy o niebezpieczeństwie liberalizowania. Toteż Mikołaj I zrywa już otwarcie z polityką „rozpuszczania narodu“. Rządzi Rosją żelazną ręką i pilnuje, by w Europie nie urządzano zbyt wiele brewerii wolnościowych.

Pisarze polityczni polscy w XV i XVI martwili się, by z faktu, że Jagiellonowie są dziedzicznymi monarchami na Litwie i rządzą tam absolutnie, nie wynikało niebezpieczeństwo dla złączonej z Litwą unią personalną Polski. Po Unii Lubelskiej obawy te stawały się bezprzedmiotowe, gdyż Litwa przyjęła urządzenia wolnościowe Polski. Na początku w XVII Polska próbuje zanieść swe zwyczaje do Moskwy. Dążenie to załamuje się o opór społeczeństwa rosyjskiego. Po r. 1830 Rosja ustala swój system rządzenia na ziemiach polskich. Symbolem tego stanu rzeczy ma być warszawska Cytadela.

Mikołajowi I nie udaje się próba zgniecenia sprawy polskiej. Przeciwnie, walka z przemocą dodaje Polakom lauru bohaterstwa i popularności w całym świecie. Polska myśl polityczna, nie mogąc się rozwijać w kraju, przenosi się zagranicę. Nie wiernopoddane odezwanie się gen. Wincentego Krasińskiego przynosi odzicie nastroju narodu, lecz wiersze wygnanych poetów.

Niepowodzenie brutalnej polityki czasów mikołajowskich jest tak wyraźne, że gdy syn jego zabiera się do najkonieczniejszych reform, potrzeba znalezienia rozwiązania sprawy polskiej nasuwa się sama przez się.

W pięknie napisanym studium o margrabim Wielopolskim Ksawery Pruszyński przedstawia masywną postać bohatera drugiej próby zbliżenia polsko-rosyjskiego w w. XIX.

Studium Pruszyńskiego pisane jest z pasją i sugestywnym talentem. Postać Wielopolskiego wyrasta w nim wysoko ponad wszystko, co go otaczało. Pruszyński wydaje się pełną ręką czerpać szczegóły z zamówionej przez syna Margrabiego po polsku i francusku apologii jego ojca, poza tym wczuwa się w ówczesne sytuacje, dopatrując się w nich bezpośredniej analogii z dniem dzisiejszym. Jest bezlitosny dla wszystkich przeciwników margrabiego. Studium to czyta się trochę jak powieść Waltera Scotta, tak jasno i wyraźnie oddzielone są charaktery czarne i białe.

Otóż, niestety, Wielopolski, będąc wielkim mężem stanu, był człowiekiem o niezwykłych wadach charakteru. Nieufny stosunek społeczeństwa do niego wynikał z zapomnianego przez Pruszyńskiego wiernopoddanego wobec cara aktu, który mu otworzył drogę powrotną do kraju po powstaniu r. 1831. Podejrzewano, że Wielopolski zrobił to dla ratowania swych włości. Może te przypuszczenia były niesłuszne, napewno nie były na miarę Wielopolskiego, — lecz Margrabia swym pieniacstwem dawał wszelkie pozory, że wątpliwości nie są bezpodstawne.

Pruszyński pięknie przedstawia drogę rozwoju myślowego Wielopolskiego. Po zawodach r. 1830, po wstrząsie r. 1846, na który reaguje swym pełnym namiętności *Listem szlachcica polskiego*, szuka on jakiegos realnego rozwiązania sprawy polskiej. W latach przed Wiosną Ludów myśli o oparciu planów politycznych o Austrię, którą widzi jako monarchię, reprezentującą ideę słowiańską. Lecz właśnie ta idea słowiańska musi doprowadzić Wielopolskiego do znalezienia rozwiązania polsko-rosyjskiego, bo już w tej epoce bez

\*) Henryk Lisicki, Aleksander Wielopolski — 1878/1879; tenże *Le Marquis Wielopolski, sa vie et son temps* — 1880.



Rosji nie można snuć żadnych planów o ruchu słowiańskim.

Zaznaczając szerokość horyzontów Wielopolskiego, Pruszyński niesłusznie i niepotrzebnie obniża wszystko to, co się Wielopolskiemu sprzeciwiało. Trzydzięci lat prześladowań nie mogło dobrze usposobić Polaków do współpracy z Rosją. Wielopolski popełnił błąd, myśląc, że wystarczy przekonać Rosję o celowości rozmawiania z Polakami. Trzeba było także przekonać własny naród. A o to Wielopolski nie dbał i nie chciał dbać. Jego bezgraniczna pycha skłaniała go do szeregu aktów, prowokujących społeczeństwo. Mierny i słaby Zamoyski potrafił lepiej pozyskać zaufanie szeregiem drobnych prac codziennych. Można z perspektywy późniejszej ocenić krytycznie wartość zjazdów klemensowskich i całą działalność Towarzystwa Rolniczego, — wówczas był to postęp. Był to pomost pomiędzy czasami Polski sejmikowej a nowoczesną organizacją społeczeństwa, której pierwsze przejawy widać w latach sześćdziesiątych, a która na dobre rozpoczęła się dopiero w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia.

Świetnie natomiast przedstawione jest w szkicu Pruszyńskiego polskie zamiętanie do gestów i niechęć do aktów politycznych. Powiedzenia Zamoyskiego do Rosjan w rodzaju *Allez-vous en*, rzucone Gorczakowowi, — na zapytanie, co robić, by pozyskać Polaków, zyskiwały mu uwielbienie i przekreślały możliwość rozmów politycznych z Rosją. Gdy już w pełni powstania car proponuje Zamoyskiemu objęcie funkcji po Wielopolskim, ów odmawia, zakrywając się frazesami. Jak pisze Norwid: „znał historię”, lecz nie znał geografii i układu sił politycznych w Europie, który sprawił, że nadzieje na interwencję stawały się złudą.

Lecz wbrew temu, co można sądzić na podstawie studium Pruszyńskiego, to nie hrabiny, sławiące w warszawskich salonach Pana Andrzeja, a krzywiące się na Margrabiego, sprawiły o załamaniu się polityki Wielopolskiego. I to nie tylko ze względu na opinię europejską i z miłości dla słowiańszczyzny rząd carski decydował się na zelżenie kursu wobec Polaków, poprzez przyjęcie reform Wielopolskiego. Margrabia był w oczach Petersburga gwarantem spokoju i porządku w Królestwie. Gdy reakcja typu mikołajowskiego stawała się już wyraźnie niemożliwą, Aleksandrowi II chodziło o przybranie kierunku, który można byłoby nazwać oświeconą reakcją. Tępe stupąki Mikołaja I zastępowane były na terenie Rosji przez dziedziców ruchu umysłowego lat czterdziestych, czy przez kurlandzkich baronów. Dla Polski Wielopolski wydawał się właściwym człowiekiem: dobrym, twardym administratorem, dbałym o rozwój kraju i — o przeciwdziałanie się nowinkom rewolucyjnym.

W decydujących latach 1860—1864 to nie Pan Andrzej był przeciwnikiem Margrabiego, lecz szary tłum warszawski. To nie arystokracja, czy zamożne ziemiaństwo wznosi żągie powstania, lecz drobne mieszczaństwo i inteligencja. Reformy szkolnictwa, dbałość o poprawę stanu własności ziemi zyskiwały Wielopolskiemu uznanie. Lecz nieublagana walka z wszelkimi przejawami organizacji społeczeństwa, rozwiązanie Straży Obywatelskiej, zamknięcie Towarzystwa Rolniczego wywoływało gniewną reakcję przeciwko jego polityce. Margrabia chciał wychować społeczeństwo, używając w razie potrzeby kozackiej nahałki.

Setki razy rozważano i pisało „co by było, gdyby” Wielopolski nie zarządził branki. Czy powstanie byłoby wybuchło. Pruszyński popełnia groźne uproszczenia, pisząc, że chodziło tylko o pobór dwunastu tysięcy rekruta i wysłanie ich do odległych, rosyjskich garnizonów. Branka miała być imienna. Mieli się na niej znaleźć przeciwnicy polityki Wielopolskiego. Służba wojskowa trwała dwadzieścia pięć lat. Pruszyński czyni częste dygresje, czy podsuwa analogie z obecną sytuacją Polski. Zróbmy i my jedną: Bereza Kartuska liczyła w czasach najpiękniejszego rozwoju około trzytysięcznych. Pomysł Wielopolskiego równał się stworzeniu czterdziestu czy pięćdziesięciu Berez z oznaczonym z góry czasem trwania zesłania na dwadzieścia pięć lat. Czy tego rodzaju polityka nie mogła zaważyć na decyzji wybuchu powstania? A potem — była już walka rozpacz.

Zasługą Wielopolskiego było, że potrafił w Petersburgu wytłumaczyć celowość naprawy szeregu błędów, popełnionych wobec Polski. Lecz sam nie umiał zrozumieć nowego oblicza kraju, który od czasów powstania r. 1830 przeszedł okres poważnych grynderek przemysłowych i rozwoju rzemiosła. Już nie tylko Żydzi i Niemcy zaludniają warsztaty i fabryki w Królestwie. Coraz więcej w nich Polaków. Rozwój przemysłu idzie wolniej niż w niektórych krajach zachodnich, — ale dostatecznie, by wpłynąć na styl życia większych miast. Wielopolski nie znał nowej Polski. Do roli swej, reprezentanta ugody z reakcyjną Rosją, dorzucił własną pychę siedemnastowiecznego polskiego magnata. Jemu także nadano tyle razy w ciągu ostatnich lat stu przypisywany przydomek „ostatniego szlachcica”.

Po powstaniu zwolennicy Margrabiego i Pana Andrzeja znajdują się luzem obok siebie równie prześcignięci przez rozwój wypadków i zepchnięci przez nowy układ sił społecznych. Uprawiają kłótnie w rodzinie o dawne czasy i tracą wpływ na idące pokolenia.

Praca organiczna, pozytywizm stanowią pierwszą reakcję społeczeństwa na rany, wyniesione z powstania. Coraz częściej Wokulscy współzawodniczą z Minclami. Sedan przekreśla ostatecznie nadzieje epigonów Wielkiej Emigracji na interwencję mocarstw zachodnich. W kraju po niepowodzeniach polityki Wielopolskiego szalała rosyjska reakcja. Do okrucieństw różnych Murawiewów dobowywano w Rosji tło przekonania politycznych. Genialne pióro Dostojewskiego wskazuje Rosji

jej misję dziejową: nawrócenia zepsutej Europy Zachodniej. Kiedy wojna rosyjsko-turecka wydaje się stwarzać nowe możliwości na podjęcie współpracy polsko-rosyjskiej, gdy stary margrabia Wielopolski szarpie się na łożu cierpień w przekonaniu, że „teraz można coś zrobić”, kiedy syn jego zbiera podpisy dla wiernopoddanego adresu do cara, Dostojewski pisze o próbach rozmów polsko-rosyjskich (1877): „Po co tu się specjalnie umawiać! Pogódźcie się i poddajcie się, lecz wiedcie, że dawna Polska nie zmartwychwstanie nigdy! Istnieje nowa Polska, oswobodzona przez cara. Zmartwychstała nową Polskę czeka bez żadnej wątpliwości ten sam los, co inne słowiańskie narody, gdy Słowiańszczyzna zostanie oswobodzona i zmartwychwstanie w Europie. Ale dawnej Polski nie będzie już nigdy...”

Rzeczywiście, rozwijała się nowa Polska, ale nie taka, jak ją sobie wyobrażał Dostojewski. W początkach lat osiemdziesiątych powstaje w Warszawie socjalistyczna organizacja Proletariat, która przygotowała teren pod rozwój Polskiej Partii Socjalistycznej. W parę lat później na zamku Hilfikon, w Szwajcarii rodzi się Liga Polska, w której tkwi korzeniami organizacyjnymi przyszły ruch narodowo-demokratyczny. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych Wysłouch formułuje w swym *Przeglądzie Społecznym* program pozyskania dla działalności politycznej mas ludowych. Piszcie on: „Sprawa polska stanie się sprawą kilkunastu milionów ludzi”.

I stała się sprawą milionów.

*Beati possidentes*, następcy Margrabiego i Pana Andrzeja, szukają bez większego powodzenia w polityce trójlojalizmu wobec zaborców jakichś korzyści. Okazało się, że wstąpienie na tron nowego „faraona”, cara Mikołaja II, nie przyniosło nowej ery. Adresy holdownicze do tronu spotykały się z zimnym przyjęciem, nie rokującym żadnych nadziei. Za zerwane przez polskie społeczeństwo milion rubli założono w Warszawie rosyjską politechnikę, — lecz oto rósł żywiołowo nurt, wiążący myśl niepodległościową z ruchami społecznymi. To nie panowie z Chrobrego czy Klemensowa, — lecz polscy sankiuloci zerwali z taktyką czołobitności wobec zaborców. Elegancyjny gubernator Krajów Przywiślańskich mieli do czynienia nie z grupą, czy z klasą, lecz z narodem.

Po reformach lat 1905—1907 myśl ugody z Rosją czyni znaczne postępy w społeczeństwie polskim. Rośnie nienawiść do Niemiec, do Haki. Wóz Drzymały staje się symbolem. Wrzesnia nie schodzi z ust. Raz jeszcze okazuje się, że w sprawie wieloletnich stosunków polsko-rosyjskich potrzebna jest dobra wola z obydwóch stron. Przed samą wojną światową Rosja odpowiada na ugodowe tendencje Polaków oderwaniem Chełmszczyzny i budową w sercu Warszawy prawosławnego soboru. Apuchtina wprawdzie już nie ma. Dzieciom wolno jest modlić się, a nawet uczyć w szkołach po polsku. Ale o nawracanie zbłąkanych dusz ma dbać metropolita Eulogiusz.

Rewolucja rosyjska r. 1917 stwarza podstawy dla nowych nadziei na uregulowanie

stosunków polsko-rosyjskich, zwłaszcza gdy po zrywającym głos w nacjonalistycznej demagogii Kiereńskim władza przechodzi w ręce Lenina. Oceniano to i rozumiano dobrze po stronie polskiej. Zawieszenie broni z Armią Czerwoną na czas jej walk z Denikinem jest wymownym dowodem nadziei, jakie w Warszawie wiązano z powstawaniem Nowej Rosji.

Wojna 1920 r. nie pozostawiła jakichś głębszych śladów nienawiści, przynajmniej wśród Polaków. Wiedzano, że Polska w układzie ryskim mogła wysunąć granice dalej na wschód, niż to ostatecznie zostało ustalone. Przypuszczano, że ta oznaka umiarkowania nie pozostanie bez echa po stronie rosyjskiej. Zapomniano łatwiej, niż można było to przypuszczać, o niektórych bolesnych punktach nowej linii granicznej, jak np. o t. zw. czterech „polskich” powiatach Podola, o Kamieńcu Podolskim i Zwańcu, tak bliskim pokoleniom, wyrosłym na Sienkiewicz. Rosja wydawała się ze swej strony być zadowolona z nowej linii granicznej. Dla Polaków, pozostałych po stronie sowieckiej, stworzony został nawet tuż koło granicy Rzeczypospolitej Autonomiczny Okręg Polski.

Zadziwiające jest, jak żyjąc pod bokiem Rosji, zdawano sobie w Polsce mało sprawy z jej istnienia. Młode pokolenie nie znało języka i literatury rosyjskiej. Na szeregu wyższych uczelni nie było katedr języka rosyjskiego. Fała reemigrantów z Rosji przyniosła ze sobą niechęć do nowego porządku rzeczy. Oddzielał nas od Rosji chiński mur przepisów graniczno-policyjnych — i tyle. Okres walki o niepodległość wydawał się bezpowrotną przeszłością. Niczego od Rosji nie chiano i myślano, że ona też od nas niczego nie chce.

Czasem jakieś podróże czy wycieczki czyniły wyłom w murze granicznym. Do Rosji wędrowali polscy pułkownicy i literaci. Do Polski zjeżdżali sowieccy pisarze. Radek flirtował w Warszawie z Miedzińskim i prawili złościwości Broniewskiemu.

W pewnym momencie na łamach rządowej *Gazety Polskiej* wybucha dyskusja pomiędzy jej korespondentem w Moskwie, Otmarem Bersonem, a oficerem sztabu, podpisującym się jako kapitan Wraga. Berson zapewniał, że Rosja nie ma żadnych imperialistycznych zamiarów wobec sąsiadów. Wraga twierdził, że „Sowiety grożą Europie”. Społeczeństwo przyjęło tę dyskusję raczej obojętnie. Wydawała się sporem akademickim.

Byłoby zapewne przesadą twierdzenie, iż w Polsce aż do wojny r. 1939 nie interesowano się polityką zagraniczną. Prawdą jest, że wiedzano o niej rozpaczliwie mało. Jeszcze w lecie r. 1937, gdy na tle wypadków hiszpańskich wojna światowa wydaje się wisieć na włosku, prasa polska zajmuje się więcej zagadnieniem, czy rację miał metropolita Sapieha, przenosząc bez porozumienia z rządem zwłoki Marsz. Piłsudskiego, czy też jest to akt samowoli. Pewien wstrząs przyniosło Monachium i zagadnienie Cieszyna. Ale o nastrojach Rosji wiedzano mało. Po wybuchu wojny, we wrześniu r. 1939, wyżsi oficerowie i dygnitarze wysyłali żony swe ku bezpiecznej granicy rosyjskiej. W drugiej dekadzie września do Moskwy wyruszyć miała polska

misja wojskowa po zakupy m. in. artykułów leczniczych i środków opatrunkowych. O wkraczających 17 września oddziałach sowieckich nie wiadano, czy idą pomagać wojskom polskim, czy okupować kraj.

Że w polskich sercach nie tkwiła jakaś głęboko zakorzeniona nienawiść do Rosji, dowodzi gotowość do wspólnej walki zaraz po ataku niemieckim na Rosję. Jeżeli układ roku 1941 spotkał się z krytyką w pewnych kołach polskich, to ze względu na niedostateczne gwarancje co do niepodległości i całości Rzeczypospolitej, a nie ze względu na brak chęci współpracy z Rosją. Od polityki rosyjskiej zależało pozyskanie jeśli nie 100 — to w każdym razie 99 procent wszystkich Polaków.

„Znam dwa rodzaje Polaków, — powiedział kiedyś do jednego z dyplomatów cudzoziemskich Mokoźaj I, — jeden, to ci, którzy się przeciwko mnie buntują i ze mną walczą, drudzy, to ci, którzy liżą moją rękę. Pierwszych nienawidzę, drugimi gardzę”.

W powiedzeniu tym zawarte jest całe błędne koło polityki rosyjskiej wobec Polski w ciągu ostatnich lat stu pięćdziesięciu. Rosja nie była w stanie znieść z powierzchni ziemi Polaków i nie umiała ich sobie pozyskać. Pomimo trudności i ucisku naród polski rośnie liczebnie i rozwija swą własną kulturę. Sprawa polska nie jest już sprawą cienkiej warstwy, lecz milionów. Nauka i sztuka polska w latach niewoli osiągały niedościgniętych poprzednio wyżyn. Wbrew wszystkim pozorom gnębienie Polaków przyniosło Rosji więcej szkód niż korzyści, oddalając ją od świata zachodniego. W możliwościach Rosji leży u nieszczęśliwienie całych pokoleń, nie leży natomiast zabicie narodu polskiego. Rosja musi się zdobyć wobec Polski na coś więcej poza nienawiścią lub pogardą.

Przed paroma dziesiątkami lat modna była, szczególnie w Niemczech, książka Hansa Vaihingera, p. t. *Die Philosophie des Als-Ob*, o filozofii, wynikającej z rozumowania „jak gdyby”. Ten rodzaj myślenia stosowany jest z zamiłowaniem przez polityków i publicystów polskich w odniesieniu do czasu przeszłego. Stąd liczne dyskusje na temat „co by było, gdyby”. Rozważania na ten temat, uprawiane zbyt powszechnie, są zwykle jałowe i nużące, a w wypadkach trudnych decyzji wyraźnie szkodliwe, gdyż odbierają zdolność jasnego myślenia w sprawach obecnych i przyszłych.

Rosyjskie żądania przyłączenia połowy Polski wydają się nam niesłuszne z historycznego, kulturalnego, gospodarczego, sentymentalnego, a nawet i etnograficznego punktu widzenia. To nieprawda, że chodzi tu tylko o interesy ziemiaństwa. Gdyby tak było, Polska wyrzekłaby się swych Ziemi Wschodnich nie trudniej, niż w r. 1920 Żytomierza czy Mińska. Mickiewicz, rozpoczynając poemat swój od słów: „Litwo, ojczyzno moja”, nie był, jak wiadomo, arystokrata. A Lwowa w r. 1918 nie bronili sami synowie książąt i hrabiów. Dostatecznym uzasadnieniem żądań rosyjskich nie mogą być motywy strategiczne. Natomiast wydaje się, niestety, że coraz większą rolę w sprawie tej odgrywają momenty wewnętrzno-polityczne i prestiżowe obecnego reżimu rosyjskiego.

Z drugiej strony nie byłoby ścisłe twierdzenie, że propozycje rosyjskie zabrania Ziemi Wschodnich i kompensaty na zachodzie równoznaczne są z czwartym podziałem Polski, jeśli... jeśli Polska zachować ma swą niepodległość. Jeśli znajdują się jakieś gwarancje, które będą mogły zabezpieczyć byt Rzeczypospolitej w sposób trwalszy od dotychczasowych. Włączenie Prus Wschodnich jest jednym z najistotniejszych elementów wzmocnienia struktury Państwa Polskiego. Jeśli propozycje te są robione przez Rosję szczerze, to nie przez to widmo największego zawsze dla Polski niebezpieczeństwa: przymierza rosyjsko-niemieckiego na ciele Polski. W ciągu w. XIX Rosja przedkładała zawsze sojusz z Niemcami nad sojusz z Polską. Być może, że po dwóch wojnach światowych wybierze obecnie porozumienie z Polską.

Zapewne na tle ostatnich doświadczeń zakładanie dobrej woli Rosji wydać się może właśnie rozumowaniem „als ob”, ale jest to rozumowanie w czasie teraźniejszym, czy przyszłym.

Jesteśmy w wojnie z Niemcami. Wojnę tę powinniśmy się starać wygrać. Nie jesteśmy i nie chcemy być w wojnie z Rosją.

Poza zagadnieniami realnymi w stosunkach polsko-rosyjskich jest jeszcze jedna, szczególnie ważna sprawa: tonu. Zławsza wobec tyłu tak świeżych i tak bolesnych ran.

Weźmy przykład konkretny. Depesze doniosły, że do Moskwy udał się prezydent miasta Warszawy, p. Spychalski, by wręczyć marsz. Stalinowi płaskorzeźbę dziękczynną za uwolnienie Pragi. Nie wiemy, kto to jest p. Spychalski, nie wiemy, kto go zrobił prezydentem Warszawy. Ale nie o to chodzi. Warszawa jest ciągle w rękach niemieckich. Bije z niej jeszcze świeży kurz i dymy pożarów. Czy nie było by wskazane poczekać z dziękczynieniem do czasu oswobodzenia miasta, do chwili wystygnięcia zgłiszcz i zabliznienia ran.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Rosja żąda od Polaków tego, tak znanego w jej polityce wewnętrznej i zewnętrznej od wieków „pokajania się”. Jest to zaś coś szczególnie trudnego i obcego psychologii polskiej.

Obecny układ stosunków wojenno-politycznych Europy wydaje się wskazywać, że przyszły pokój podzieli ją, tak jak po wojnach religijnych XVI i XVII stulecia, w myśl zasady *cuius regio eius religio*. Co wolno będzie na Akropolu, nie wolno będzie na Wawelu, co wskazanym będzie na Wawelu, nie będzie dopuszczalne na Akropolu.

Rosja może zacząć znowu próbować nas zdusić i może nam dać żyć. Doświadczenie dziejów wskazuje, że nie warto jest gnębić Polaków. Bo naród polski był, jest i będzie.

Bohdan Łączkowski

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”  
ukazały się następujące książki:

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

## DZIEJE POLSKI

Tom II.  
Cena 400 milsów.

WŁADYSŁAW CHOMA

## TOBRUK-GAZAŁA

Cena 180 milsów.

ROMAN FAJANS

## WŁOCHY — 1944

Cena 200 milsów.

TEODOR PARNICKI

## SREBRNE ORŁY

T. II  
Cena 300 milsów

ST. PLESZCZYŃSKI — T. SOWICKI

## GARDEN PARTY

Sztuka w czterech aktach  
Cena 180 milsów.

BOLESŁAW PRUS

## LALKI

Tomy I—IV  
Cena całości 800 milsów.

W D R U K U :

SZYMON ASKENAZY

## KSIAŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI



ZBIGNIEW GRABOWSKI

# MÓZG I KREW

Oficer Armii Krajowej, p. Andrzej Pomian, zamieścił niedawno na łamach londyńskiej *Polski Walczącej* uwagi na temat powstania warszawskiego. W zakończeniu swoich rozważań p. Pomian dochodzi do wniosku, że ofiara krwi stolicy była konieczna, że to wspaniałe „szaleństwo” było celowe, że historia wykaże i potwierdzi tę celowość, tak jak wykazała, że oprócz Anglii w r. 1940 był potrzebny i celowy; p. Pomian sądzi, że Polskę stać na czyny takie jak powstanie Warszawy.

Mam największy szacunek dla głosu p. Pomiana, albowiem przychodzi on z Kraju, albowiem jest autentyczny, szczerzy, odważny. Muszą wyznać, że z pewnym ociąganiem zabieram się do dyskusji z p. Pomianem, ale równocześnie czuję, że podjęcie tej dyskusji jest obowiązkiem. Na odważny i szczerzy głos p. Pomiana odpowiem również szczerze. Tragedia Warszawy domaga się wypowiedzenia odważnie nie tylko tego, co czujemy, ale także tego, co myślimy. Trzeba powiedzieć te rzeczy nawet za cenę niepopularności, czy oskarżenia o czarnowidztwo, pesymizm i inne grzechy główne. Wydawało mi się zawsze, że optymistów i optymizmu nigdy nam nie zabraknie; obawiałem się zawsze i obawiam o niedobór w ludziach trzeźwych, ostrożnych, nawet sceptycznych.

P. Pomian cytuję przykład Anglii z r. 1940. Niech mi wybaczy, ale przykład ten nie wydaje mi się przekonujący. Anglia stawiała opór w r. 1940 wspinała, przygotowała słabo do walki, zagrożona niebywale; była to decyzja natury głównie moralnej, decyzyjny instynkt. Ale Anglia była w warunkach nieporównanie korzystniejszych aniżeli Warszawa w r. 1944; nie można tych warunków zestawiać. Decyzja nasza z września r. 1939 da się porównać z postanowieniem Anglii r. 1940. Podobnie decyzja Finlandii w chwili uderzenia Rosji na ten kraj w zimie r. 1939—40. Publicyści angielscy podnosili nieraz analogie i podobieństwa, istniejące między tymi trzema „szaleństwami”. Analogie takie są. Ale Warszawa w r. 1944 zrobiła więcej, aniżeli Anglia w r. 1940, Anglia nie gotowa wprawdzie, ale czująca za sobą uwagę całego świata, poparcie olbrzymiego Imperium. Atmosfera walki Anglii w r. 1940, — czego byliśmy naoczniymi świadkami, — była inna, na pewno inna, aniżeli rozpaczała sytuacja Warszawy w r. 1944. Warszawa podjęła bój po raz drugi, a jeżeli liczyć walkę ghetta, — po raz trzeci. Dokonała więc próby niemal ponad siły, próby nieludzkiej, próby niemal że groźnej w swoim bohaterstwie.

Analogie z Anglią r. 1940 wydają mi się zatem całkowicie nietrafne. Zarówno w założeniu swoim, jak w celu, zarówno w warunkach toczenia walki, jak w atmosferze, w jakiej walka była toczona, — boje te są diametralnie różne, skrajnie odmienne. Nie trzeba się co do tego łudzić. Ogrom bohaterstwa Warszawy nie wytrzymuje niejako zestawień, albowiem czyn Warszawy wydaje mi się czymś bez paraleli, czymś chyba bez precedensu: czymś jedynym w swoim rodzaju.

P. Pomian wypowiada myśl, że Polskę stać na gesty i czyny szaleństwa, że stać ją na tak wspaniałe poświęcenia. Widzę w tym myślowym założeniu duże niebezpieczeństwa. A ponieważ będy myślowe prowadzą w życiu zarówno jednostek, jak narodów, do popełniania błędów realnych, do klęsk i załamania, przed którymi jednostki i społeczeństwa stają nieraz potem oszołomione, pytając: jak się to stało, — chciałbym zgłosić tutaj swoje skromne zastrzeżenia.

W wojnie tej jesteśmy świadkami stosowania polityki rozrzućnej, jeżeli chodzi o krew, przez pewne państwa i bardzo oszczędnej, jeżeli chodzi o inne. Rosja poniosła wielkie straty; pewne źródła neutralne uważają, że straty sowieckie wahały się w granicach do 15 milionów, co stanowiło niemal że 10% stanu ludnościowego Rosji sowieckiej (poważne obliczenia skłonne są przyjmować, że ludność Rosji sowieckiej przed wojną wynosiła do 150 milionów i że podawane cyfry 170 milionów były raczej przesadne). Rosja niemiecka poniosła olbrzymie straty; przypuszczalnie, — jeżeli wierzyć źródłom szwajcarskim, które wykazują wielką solidność w tych sprawach, — Rzesza straciła dotychczas ponad 8 milionów ludzi, co stanowi 10% stanu ludnościowego t. zw. Wielkiej Rzeszy. Straty te wzrosną do końca wojny i już dzisiaj oblicza się, że Niemcy zapłacą w tej wojnie haracz w zabitych, zaginionych, kalekach — do 12 milionów. Są dzisiaj znawcy Niemiec tak w Anglii, jak i w Stanach Zjednoczonych, którzy powiadają, że Rzesza niemiecka nie „pozbięra się” po tych ciosach przez wiele lat. Ze utrata takich zasobów krwi pogrąży ten kraj w rozterce, rozbiu i osłabieniu na okres 30-tu do 40-tu lat. Nie wiemy, jak będzie na pewno, ale wiele przemawia za tym, że Rzesza podkopała tak swoje zasoby biologiczne, tak uszczupliła swoje zapasy krwi, iż nie potrafi już tego nadrobić. Wszelkie „żatanie” tych strat na te czy inne sposoby, m. in. przez kradzież krwi, uprawianą na podbitych narodach, przez wywożenie do Rzeszy dzieci nieślubnych, urodzonych w krajach okupowanych, i t. d. nie uda się. Rosja odbuduje swoje straty stosunkowo szybko, albowiem jej możliwości reprodukcji są inne, albowiem jej stopa urodzin była o tyle wyższa od niemieckiej nawet w dobie sztucznych „ofensyw urodzin”, zasiłków rodzinnych i „rewolucyj ludności-

wych”, robionych z takim hałasem przez Hitlera od r. 1933; stopa ta, pomimo „finansowania urodzin” przez państwo drogą zasiłków, pożyczek dla młodych małżeństw, premii i t. d. — spadała przed wojną. Rosja wstąpiła już teraz na drogę popierania urodzin, obostrzyła przepisy rozwodowe i sprawiła, że rozwód stał się przywilejem zamożnych; propaganda świętości macierzyństwa i wszelkich jego uroków zajmuje poważne miejsce w prasie i radiofonii sowieckiej. Ale i ogrom sowiecki, który, — jak przewiduje wydany świeżo raport Ligi Narodów w Genewie na temat układu ludnościowego w przyszłości, — liczyć może aż 250 milionów w r. 1970, — nie przejdzie tak łatwo do porządku nad wielkimi stratami wojny.

Mocarstwa zachodnie obrały w tej wojnie politykę oszczędzania krwi. Jest to wynikiem oczywistego faktu, że kraje te mają ustabilizowaną ludność, że przyrost tych krajów nie jest wielki, czasami nawet nie istnieje. Kto obserwował uważnie Francję przed wojną, ten wiedział, że kraj ten pójdzie na oszczędzanie krwi w jakiegokolwiek przyszłej wojnie, na *une guerre blanche*. Tak też się stało. Anglia wybrała podobną politykę, albowiem urazy pół Flandrii z pierwszej wojny światowej zapadły zbyt głęboko w świadomość zbiorową Anglii. Lista strat jest przedmiotem największego zainteresowania w Wielkiej Brytanii. Rząd uważa za punkt honoru przedstawiać narodowi najniższy rachunek krwi. Strat unika się wszędzie, gdzie ich można uniknąć. Lotnictwo w wielu wypadkach, — do czego przynajmniej się prasa angielska z całą otwartością, — oszczędza tych strat; otwiera ono drogę piechocie i czołgom, oczyszcza wątpliwe szlaki, kładzie w gruzy miasta i miasteczka, wypłasza *snipers*, niszczy zorganizowany opór. Nikt nie zarzuca Anglikom braku odwagi. Jest to rasa z gruntu odważna, kochająca smak ryzyka. Ale ta rasa odważna jest i rozsądna. Uznaje ryzyko, kocha ryzyko. Ale i kocha życie, zna i rozumie jego wartość. Dlatego inwestuje krew „na pewniaka”. Dlatego szafuje krwią oszczędnie: krew uważa za płyn bardzo cenny, niemal bezcenny. Postawa taka musi wywołać u każdego myślącego człowieka szacunek dla rozwagi odważnego narodu angielskiego.

Pisarze angielscy, rozważając sprawę przyszłości swojego kraju, powiadają otwarcie, że wojna obecna wypadnie w bilansie lepiej, aniżeli wojna poprzednia, albowiem straty ludzkie Anglii i Imperium będą o wiele mniejsze aniżeli w wojnie 1914—1918 r. A zatem, — powiadają ci pisarze, — będziemy mogli rozwinąć żywotniejszą działalność, aniżeli po poprzedniej wojnie, będziemy mieli więcej siły i energii aniżeli w r. 1918, kiedy to wyraźnie odczuwaliśmy osłabienie w tyłu dziedzinach, kiedy cierpieliśmy na anemię woli przy niejednej okazji, kiedy utrata krwi odbiła się na naszej żywotności w dziedzinie zarówno społecznej, jak i w naszych zainteresowaniach polityką zagraniczną. Sytuacja nasza, — powiadają ci pisarze, — była w r. 1918 niekorzystna: upust krwi pogrążył nas w depresji, bezruchu; były to objawy groźne, zapamiętaliśmy dobrze tę lekcję. Anglia nie może sobie pozwolić po raz drugi na taki upust krwi. Zagroziłoby to bowiem normalnemu funkcjonowaniu jej organizmu, procesowi jej obiegu krwi, jej energii i równowadze.

Takie jest stanowisko rozsądnej opinii brytyjskiej.

Sytuacja Polski zmusza nasz kraj do wieków do olbrzymiej daniny krwi. Upust krwi polskiej nie trwa od dzisiaj. Jest to zjawisko stałe, niepokojące stałe. Krwotok Polski odbywa się przez wieki. Trzeba to sobie powiedzieć jasno i uświadomić jeszcze jasniej. Załamanie się potęgi Rzeczypospolitej, upadek naszej myśli politycznej, osłabienie wiązań naszego państwa na schyłku w. XVIII—wszystko to było również wywołane faktem, że Polska była wykrwawiona, że wydała za wiele krwi, że nie zaznała istotnego, krzepiącego pokoju, że nie mogła się wzmacnić pokojem. Polityka nasza, jeżeli chodzi o krew, okazała się rabunkowa. Wywołało to anemię działania i myśli, — albowiem mózg żywi się k r w i ą .

Ten krwotok nie został zatamowany w dobie niewoli. Płaciliśmy daninę krwi dalej, — w Polsce i poza Polską. Powstania, zeznania, że warunki ekonomicznego rozwoju, nadwyrężały nas dalej. Emigracja zubożyła nas poważnie w naszym biologicznym stanie. Podczas gdy inne kraje bogaciły się, krzepiły, zdobywały włości poza granicami swoich ojczyzn, rozszerzały swoje granice przez zabory kolonialne (wojny kolonialne są bardzo t a n i e, jeżeli chodzi o krew, i Anglia dobrze wiedziała, dlaczego takie wojny się opłacają w bilansie), myśmy tracili tej krwi bardzo wiele, ciągle. I wyszliśmy na światło wolności osłabieni, przeorani zniszczeniem wojny, z licznymi brakami, niedostatkami, uszczerbkami, wypaczeniami myślenia i woli. Nadrobiliśmy wiele, bardzo wiele. Gdybyśmy mieli jeszcze 20 czy 30 lat pokoju, warunków rozwoju, polepszały się one u nas niemal że dotkalnie, szczególnie w latach przed wojną, — gdyby nie trzeba było zapłacić nowych haraczy krwi, Polska stałaby się naprawdę siłą. Okrutny los przeciął pasmo naszego wolnego życia akurat w dwudziestym pierwszym roku swobodnego rozwoju: wtedy, gdy wychodziliśmy ze stanu, by tak rzec, niepełnoletności.

Nasza danina krwi w tej wojnie jest wszystkim znana. Tak znana, że nawet najbardziej niechętni nam ludzie przyznają wspólnie bohaterstwo narodowi polskiemu; ludzie nam życzliwi powiadają, że nie obawiają się o naszą gotowość płacenia tej daniny, ale o to, czy politycznie, gospodarczo i społecznie potrafimy sobie dać radę w przyszłości. Świat zna nas jako *born fighters*, — urodzonych żołnierzy, — ale często wypowiada wątpliwości o naszych zaletach w innych dziedzinach, szczególnie w dziedzinie rzetelnego, obiektywnego myślenia. Nikt nie kwestionuje naszej krwi; ale wielu naszych przyjaciół zapytuje się o losy naszego mózgu, o losy naszej umysłowej ekipy, naszej inteligencji.

Należy uprzytomnić sobie fakt, że Polska została straszliwie okaleczona w tej wojnie. Wymordowano trzy miliony Żydów; przypuszczalnie straty polskie w Kraju wynoszą trzy miliony. Ześnania, nędza, niedożywienie — pochłonęły do dwóch milionów, jeżeli nie więcej. Do końca wojny na obszarze przedwojennej Polski może mieszkać nie 35, ale zaledwie 25 milionów. Powie ktoś, że wyrównamy to przez nabytki na zachodzie, przez podniesienie rozrodczości, która jest zahamowana obecnie przez nędzę Kraju, przez zysk na roboty do Rzeszy roczników, które dają przyrost, i przez inne rozliczne czynniki, — ale odpowiedź na to brzmieć będzie, że wszystkie te procesy to sprawa lat, że nawet w Polsce przed wojną r. 1939 linia urodzin już lekko spadała, albowiem jest nieodmiennie prawo, że tam gdzie poprawia się poziom życia, linia urodzin wykazuje dążność do obniżania się. Zjawisko to obserwować można było we wszystkich zamożniejszych krajach Europy.

W najlepszym nawet wypadku wyjdziemy z tej wojny okaleczeni. Mówimy tu tylko o ilości, ale statystyka jest zawodna, albowiem musimy sobie uprzytomnić, że w Polsce zginęli i giną najlepsi. Ze ponieśliśmy okrutne straty w klasie świadomej, że narażali się najlepsi sercem i głową, że nasze zasoby młodzieży zostały niepokojąco przetrzebione, że podmyto przez to niejako brzegi naszej przyszłości. Jeżeli Francja, z której odwalono wielko okupacji, wykazuje tak wielkie szczyrby w młodzieży, skoro stan zdrowotny młodzieży jest zły, skoro choroby wśród dzieci są rozwielenione i Francja lęka się poważnie o swoją przyszłość, o swoją energię oraz wolę w dobie pokoju, — to chyba jest rzeczą jasną, że z chwilą odpływu niemieckiego potopu z Polski obraz, jaki się wynurzy, będzie o wiele, wiele gorszy od francuskiego.

Nasze straty nie kończą się na tym. Poza stratami jawnymi są jeszcze straty ukryte, które są u nas większe aniżeli w innych krajach, szczególnie w krajach Zachodu. Jest to strata energii narodowej, wyrażająca się w kaloriach wiedzy, w pogotowiu młodego pokolenia do podjęcia normalnego życia. Belgia, Holandia, Dania, Norwegia — mimo takich czy innych strat — uratowały swoją młodzież; żyła ona w warunkach wojennych, ale jako tako ludzkich. Nasza sytuacja była i jest wyjątkowa: nasza młodzież żyła i żyje w warunkach wprost nieludzkich. Była ona i jest pozbawiona szkół, wychowania, dostępu do wiedzy. Pamiętamy przecież, że w Polsce niepodległej pasowaliśmy się ciężko z problemem upowszechniania nauki i wiedzy, że dopiero przed wojną wydobyliśmy się z odmetów analfabetyzmu, że paraliśmy się z groźnymi lukami w dziedzinie nauki, że nasza „góra rządząca” była niedokształcona, że brakowało nam ludzi w pełni wyszkolonych, że nasz kontakt z Zachodem rwał się na skutek trudności finansowych i dewizowych, że nie mogliśmy przeszkalać odpowiedniej stawki młodzieży zagranicą. Jakież olbrzymie luki będziemy mieli po wojnie, jak bardzo osłabione będą nasze soki umysłowe, nasze energie mózgowe!

Nie można tych faktów zatajać. Trzeba o nich mówić jasno i jawnie. Trzeba wskazywać na niebezpieczeństwa, jakie się czają. Trzeba żyć z ołówkiem w rękę. Praktyczny Anglik wywiesił hasło — nie tylko w bankach — *watch your credit line* (uważaj, ile masz na rachunku!); nie tylko jednak jednostki muszą uważać na swoją *credit line*, również i narody muszą zważać na tę nieubłąganą *credit line*. Anglia rozumiała tę prawdę od dawna. Prowadziła swoje wojny oszczędnie, w dobie kiedy inne narody wykrawiały się na polach bitew w Europie, dokonywała bezkrwawych albo taniach, jeżeli chodzi o krew, podbojów po świecie, poświęcając niewielkie stawki awanturników, — jak gdyby oddając na odstrzał pewne ilości ludzi. Rozumiała, że wojny rujnują narody, a w każdym razie nie wzmacniają narodów, patrząc zaś na olbrzymie, niepowściągliwe, rozrzućne szafowanie krwią przez inne narody, redukowało swoje straty gdzie tylko mogła.

Trudno w artykule dziennikarskim omówić tak złożone zagadnienie, jak związek, który istnieje między zasobami krwi danego narodu a jego linią rozwoju. Ale warto przypomnieć sobie pewne fakty. Warto przypomnieć, że Serbowie po klęsce na Kossowym Polu na długie, długie lata zostali sparaliżowani. W wojnie ubiegłej ponieśli oni straszliwe straty; bohaterstwo ich było głośne w świecie, ale osłabienie ich po wojnie było wyraźne. Politycznie nie rozwiązyli oni zagadnienia nowego państwa, — Jugosławii. Czesi po klęsce pod Białą Górą padli jako organizm państwowy. Zmienili swój skład społeczny i po dwóch

wiekach wynurzyli się dopiero jako nowy organizm narodowy. Klęska pod Białą Górą zmieniła Czechów z państwa w naród; nowa warstwa wykluwała się prawie dwa wieki, tworzenie się nowego narodu było powolnym, bolesnym procesem. Dzisiejsza Czechosłowacja jest uszanowana: neutralne źródła powiadają, że nawet liczba urodzin zwyżkuje w Czechach, — jest ona wyższa niż w r. 1938. Ich siła robocza pracuje przy czeskich warsztatach pracy, nie zasila fabryk Rzeszy.

Różne narody Europy zmieniały swoje stanowiska i hierarchie na skutek klęsk i strat w krwi. Szwecja od czasów klęski pod Potawą, — która poza tym przesądziła o losie Polski i o wzroście potęgi Moskwy, — cofa się stale. Wielki zaborczy naród poniósł takie straty w krwi, że dzisiaj stał się małym narodem, który rozbudował świetnie swoje zasoby kultury i pomyślności. Doskonali żołnierze, którzy bili się wszędzie w Europie, musieli cofnąć się do swojej niewielkiej ojczyzny, albowiem straty Szwecji były zbyt poważne, jej energia życiowa spadała. Osłabienie Hiszpanii, — a rasa to jest nader bitna, — było wynikiem strat, poniesionych na wielu polach bitew globu. Francja po straszliwym puszczeniu krwi w dobie Napoleona przestała istnieć jako potęga zaborcza, imperialistyczna. Rozbudowywała swoje wpływy przez wojny kolonialne, o tyle tańsze aniżeli zmagania się na stałym lądzie Europy. Posza tu zatem za przykładem Anglii.

Nie mnożę przykładów. Chcę tylko wykażać, że pomiędzy siłą, wpływami i potęgą danego kraju a jego ofiarami i świadczeniami w krwi istnieje jednak ścisły związek i zasadniczo nie ma tu znaczenia, czy wojnę toczy się w myśl hasła zaborczych, dla rozszerzenia swoich włości, czy też broniąc własnego progressu. Żaden naród Europy nie mógł sobie pozwolić na ofiary krwi ponad pewną normę. Europa pełna jest przykładów cofania się wielkich narodów jak Szwecja, Francja, Hiszpania, Portugalia, — w swoje ściślejsze dzieje. Cofanie się to jest w dużej mierze uwarunkowane ofiarami krwi, rozległością i zasięgiem zniszczenia wojnami, przetrzebieniem społeczeństw. Wiąże się z tym osłabienie i anemia władz myślenia, albowiem nikt nie zmienia prawa, że mózg żywi się k r w i ą .

Polska uważana bywa często przez samych Polaków za naród „młody”. Wynika to z dużego braku poczucia i znajomości historii, jakie u nas istnieje. Wynika to z przekonania, że Polska, która wydobyła się z topieli po pierwszej wojnie światowej, była nowym państwem, — a zatem młodym narodem. W rzeczywistości Polska jest starym i dostojnym narodem Europy. Jest ona głęboko zakotwiczona w dziejach Europy. Stosując się do niej prawa odpływu i przyprływu, które działają u innych ludów Europy. „Młodość” Polski polega tylko na tym, że nasz przyrost naturalny był poważny, — podobnie jak n. p. Bułgarii, która nie jest przez to jeszcze „młodym narodem”: jest ona starym narodem Europy — i dlatego, że cała wschodnia Europa zachowała (w odróżnieniu od Zachodu) nie tylko pęd ludnościowy, ale i pewną ochotę wydawania krwi nad miarę.

Fakt ten nie powinien jednak prowadzić nas do wysnuwania wniosku, że stać nas na ofiary krwi stale i zawsze. Założenie takie wydaje mi się nie ugruntowane ani historią, ani logiką. Prawa dziejów są jednakowe dla narodów, — prawa przyrody są jednakowo nieubłagane. Optymizm tych, którzy sądzą, że stać nas na ofiary stale i ciągle, jest piękny, ale obawiam się, raczej nieuzasadniony. Za wszystko w tym życiu płaci się wcześniej czy później. Nie nie mijają bezkarnie. Są to prawdy proste, chociażby się rzec, banalne, ale trzeba je sobie przypomnieć. Upust krwi polskiej w tej wojnie jest olbrzymi. Musi on budzić niepokój świadomych i myślących Polaków.

I dlatego trzeba nam jasno i jawnie mówić o tych sprawach. Tak jak mówi się o tym w krajach Zachodu, które dbając swoją krew, nie uważają tych tematów za coś drażliwego. W krajach Zachodu — to samo stosuje się do Stanów Zjednoczonych, gdzie niedawno Roosevelt w przedwyborczych przemówieniach podkreślał, że stara się zmniejszyć straty amerykańskie — troska o krew stanowi przedmiot dyskusji ogółu; dba o to opinia, dba rząd. Przyszłość Polski zależna jest od tego, czy pomiędzy krwią a mózgiem naszego społeczeństwa będzie istniała równowaga. Mózg potrzebuje krwi. Narody wykrwawione nadmiernie nie stać na myślenie poprawne, energiczne, twórcze. A czasy, jakie przyjdą, wymagać będą siły myśli więcej niż kiedykolwiek.

## SPROSTOWANIE

Do zamieszczonego w poprzednim (43) numerze „W Drodze” artykułu p. Bernarda Zippera p. t. „Przyczynki do zagadnień bałkańskich” wkładaj się na ostatniej szpalce następujące, wypaczające sens błędy druku: zamiast „Zielonej Gwardii” ma być „Żelaznej Gwardii”, poza tym pod koniec artykułu zamiast po raz drugi wydrukowanego ustępu o Turcji powinien być następujący ustęp: „Co do Grecji, to wyspy egejskiego archipelagu wrócić może nie w zupełności — do greckiej macierzy”.



# KOLUMNA FRANCUSKA

# Z PRASY FRANCUSKIEJ

## „La Presse de France”

Bardzo trudno zorientować się nam dziś w tym, co się naprawdę dzieje we Francji. Wiemy, że kształtuje się tam oblicze Czwartej Republiki, że oblicze to jest bardzo różne od tego, jakie znamy sprzed wojny, — ale jakie jest ono naprawdę? Jak dotąd, skąpe tylko i chude wiadomości o tym przenikają do nas. Nie mamy bezpośredniego dostępu do prasy francuskiej i prawdopodobnie dużo jeszcze czasu upłynie, zanim zaczną dochodzić do Palestyny gazety, tygodniki i miesięczniki, wydawane w Paryżu.

Tymczasem trzeba zadowolnić się ich namiastką, wydawanym przez bejrucką *Service d'Information de la Délégation Générale de France au Levant* tygodnikiem *La Presse de France*. Pismo to zaczęło wychodzić w Bejrucie w połowie grudnia ub. r. W chwili gdy notatka ta idzie do druku, w Jerozolimie są dostępne cztery jego numery. Wypełnione są one w całości przedrukami z paryskich artykułów, notatek, karykatur i reklam (reprodukowanych dla zasergowania czytelnikowi paryskiego *coteleur locale*). Z jednym wyjątkiem — pisma *France — U.S.S.R. — La Pr. de Fr.* nie zamieszcza przedruków z miesięczników. Trudno o to pismo winić, — duże artykuły z miesięczników nie łatwo nadają się do przedruków w takim tygodniku, — ale też i trudno nie zauważyć, że jeśli idzie o warunki przedwojenne, to tygodniki francuskie — inaczej niż u nas — nie tylko że przynosiły materiał dużo lepszy, ale też i informowały powierzchownie i gorzej od miesięczników i grubych dwutygodników. Tym właśnie miesięcznikom zawdzięczała przedwojenna francuska prasa swój wielki autorytet kulturalny w świecie, one były dla Francji najbardziej reprezentacyjne. Tradycję tę kontynuowało zresztą z powodzeniem szereg pism francuskich na emigracji z *Fontaine* na czele.

Nie znając z bezpośredniego kontaktu dzisiejszej prasy paryskiej, nie można odpowiedzieć na pytanie, o ile *La Pr. de Fr.* daje przekrój obiektywny i wszechstronny. Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, jakoby dobór materiału dokonywany był przez ludzi o sympatiach komunistycznych i jakoby prasa komunistyczna była tu faworyzowana. Tym niemniej każdy numer przynosi dużo materiału ciekawego i w każdym sprezentowano kilka czołowych nazwisk z literatury i publicystyki francuskiej (m. in. Gide, Duhamel, Mauriac, Siegfried, Benda, Pertinax, Alfred Bayet).

Nazwy pism, z których dokonano przedruków, są przeważnie nowe, nieznanie przed wojną: *Combat*, *Action*, *Carrefour*, *Les Lettres Françaises*, *Gavroche*. Ze starych znajomych są tu socjalistyczny *Populaire*, *Figaro* i humorystyczny *Canard Enchaîné*. Nowe tytuły to przeważnie nazwy pism podziemnych, które teraz kontynuują swoją działalność już jawnie. Trochę wiadomości o tej prasie podziemnej przynosi niedokończony jeszcze artykuł z *Gavroche* z dn. 14 grudnia. Cyfry nakładów, jakie niektóre z tych pism podziemnych osiągnęły, są imponujące. Tak np. katolicki *Témoignage Chrétien* drukowany był w nakładzie 200.000 egzemplarzy, inne znów pismo, *Franc-Tireur*, osiągnęło nakład 150.000 egzemplarzy. Praca w tych pismach nie była ani łatwa, ani bezpieczna: z pięciu redaktorów podziemnej *Liberation* pozostał przy życiu tylko jeden.

*La Pr. de Fr.* oficjalnie informuje przede wszystkim w dwóch dziedzinach: w polityce zagranicznej oraz w sprawach literackich i w ogóle kulturalnych, którym poświęcono dużo miejsca. Pismo rozczaruje zato czytelnika, który by na jego podstawie chciał się zorientować w zagadnieniach polityki wewnętrznej nowej Francji. Kilka dosyć ogólnikowych artykułów czy hasła, w stylu „*soyons unis, mais demouons divers!*” — nie zaspokoili naszej ciekawości, jak wyglądała problematyka odbudowy i przebudowy, wobec których stoi dzisiejsza Francja, ani też jak wykryształizowały się (jeśli się już wykryształizowały) programy poszczególnych partii.

## Sprawy zagraniczne

W dziedzinie polityki zagranicznej stanowisko prasy francuskiej, tak jak się ono odbija w zwierciadle *La Pr. de Fr.*, możnaby pokrótce ująć w ten sposób: mocno akcentowane sympatie prorosyjskie, rezerwa w stosunku do polityki angielskiej (przykładem może tu być artykuł Bertinaxa o polityce bałkańskiej Churchilla: spokojny w tonie, ale krytyczny), zdecydowanie wrogie nastawienie do reżimu Pierłota: reżim ten, jak twierdzi *Action* (powołując się na amerykańskie źródła), ma być „parawanem, poza którym ukrywa się jeden z najpotężniejszych europejskich karteli finansowych: *La Société Générale de Belgique*”.

Artykułów, fetujących zawarcie sojuszu francusko-sowieckiego, jest dużo. Niektóre podkreślają, że sojusz ten nie oznacza pójścia Francji na komunizm w polityce wewnętrznej: „Polityka wewnętrzna — to jedna sprawa. Polityka zagraniczna — to sprawa druga. Chcieć pomieszać te sprawy, które powinny zostać oddzielone, znaczyłoby to straszliwie osłabić kraj. Komunisci francuscy sami o tym dobrze wiedzą. A ponieważ Rosja w takiej samej mierze potrzebuje naszej zwartości wewnętrznej, jak my ich zwycięstwa, można wierzyć, że Maurice Thorez szczerze życzy sobie dzisiaj niezależności Francji i jednoci jej obywateli” — uspokaja się *Carrefour* z dn. 9 grudnia.

W *Figaro* artykuł o sojuszu napisał François Mauriac, który ma ponoć zostać ambasadorem Francji przy Watykanie. Jest to bardzo ciekawy artykuł polityczny, choć jego treść polityczną trzeba wyluskiwać z poezji wspomnień. Mauriac nawiązuje do wspomnień z czasów swojego dzieciństwa, kiedy zawarty został sojusz francusko-rosyjski (został on, jak wiadomo, zawarty w r. 1893, ale ogłoszony w dwa lata później): „W ten piękny wieczór letni mojego dzieciństwa miliony młodych chłopców w całej Europie zasypiało, nie wiedząc, że los ich został zdecydowany”, że pójdą na wojnę, z której wielu z nich nie wróci. Tak samo, być może, i obecny sojusz zdecydował o losach tych milionów chłopców, którzy dziś chodzą do szkoły. Dlatego radość z powodu jego podpisania, to radość poważna, „*la joie grave*”.

Ale — tłumaczy dalej Mauriac — sojusz ten był potrzebny. Wojna z Niemcami wyleczyła ludzi z wielu złudzeń: „szczęśliwi ci, którzy wierzą, że ponad ładem politycznym istnieje ład miłosierdzia, że historia, którą można oglądać, jest tylko odwrotnością prawdziwej historii i że istnieje inne królestwo niż królestwo tego morderczego świata”.

Mówiąc krótko i prozą: „poważna radość” Mauriacu to radość rezygnacji. Nie sposób wierzyć — tłumaczy on — w zapanowanie po wojnie na tym świecie jakiegos międzynarodowego ładu. Bezpieczeństwo przyszłej Francji trzeba wobec tego oprzeć na sojuszach wojskowych, zdając sobie dobrze sprawę z tego, że sojusze takie to ewentualność wciągnięcia Francji w przyszłą wojnę.

W precyzowaniu polityki francuskiej wobec Niemiec publicyści francuscy są bardzo ostrożni. Albert Bayet stawia w *Carrefour* pytanie: „Czy trzeba anektować lewy brzeg Renu?” Odpowiedź brzmi, że Francja nie powinna dążyć do takiej aneksji. Siłą Francji — tłumaczy Bayet — jest to, że jest ona jednolita narodowościowo. Aneksja Nadrenii wprowadziłaby w żywe ciał Francji masę Niemców. Dlatego Bayet proponuje inne rozwiązanie: mandat międzynarodowy, z tym że państwem mandatowym byłaby tu Francja. Po wyeliminowaniu hitleryzmu Nadreńczycy sami mieliby zdecydować, czy chcą należeć do Rzeszy, czy też nie: „Decyzja należałaby do nich, a nie do nas. Z chwilą kiedy nasze interesy wojskowe i gospodarcze zostaną odpowiednio za-

gwarantowane, nie radziłbym Francuzom, aby się zbyt bezpośrednio mieszać w te sprawy”.

W *Le Populaire* Charles Dumas występuje przeciwko projektom dzielenia Rzeszy na szereg państw, a w szczególności przeciwko projektowi tworzenia z Austrii i Bawarii katolickiego niemieckiego królestwa Habsburgów (który to projekt jest ponoć rozważany w pewnych kołach alianckich). Nie można, dowodzi autor, bardziej pójść na rękę hitlerowcom, jak właśnie przez wysuwanie takich planów: „Dostarczyłoby się im wówczas doskonałej platformy walki o zjednoczenie narodowe wokół tych spośród nich, którzy pozostaną, — a pozostanie ich aż zbyt wielu, — do walki o tę jedność, z której Niemcy nie zrezygnują”.

Do spraw polskich nawiązuje tylko jeden artykuł — F. Bordeta w *La Marseillaise* z 6 grudnia. Artykuł ten apeluje do de Gaulle'a, aby przy okazji podróży do Moskwy uznał Komitet Lubelski. W argumentach nie jest wybredny. Rząd Polski w Londynie to „agenci, pracujący na rzecz magnatów, uczniowie Rydza-Smigłego i Becka”.

## Młodość de Gaulle'a

Ostatni numer *La Pr. de Fr.* przynosi ciekawą dla nas artykuł o młodości gen. de Gaulle'a, przedrukowany z *Ambiance* z dn. 13 grudnia. Jest w nim sporo interesujących szczegółów.

ALEKSANDER JANTA

# Z NOTATNIKA

Francja, w październiku 1944 r.

Nicejska oficyna Tyszkiewiczza, filia florenckiej placówki bibliofilskiej tego artysty-drukarka, ostatnia reduta pięknej polskiej książki, nie zawiesiła pracy pod okupacją niemiecką.

Samuel Tyszkiewicz, którego drukarnia, introligatornia, biblioteka, skład papieru i mieszkanie mieściło się w jednym maleńkim pokoju, wydawał swoje tomiki mimo Gestapo, a nawet pod jego nosem. Te swoiste wydawnictwa podziemne, tych kilkanaście zbiorów Łobodowskiego, Wierzyńskiego, Paczkowskiego, Pelca, Micińskiego i innych, na czerpanym papierze, z ozdobnikami, w oprawach, stanowiąc będąc nieżywką i rzadki dokument polskiej kultury i sztuki rękodzielniczej.

Tyszkiewiczowska biblioteka polskich „*Introvuable*” z lat 1940—44 dobrze byłoby czym prędzej pokazać w Londynie i wszystkich centrach polskiej emigracji.

W czasie nalotów alianckich na Niceę zabity został bombą Witold Conti, jeden z bardziej popularnych polskich aktorów filmowych, tenor o pięknym głosie.

Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Witold Kozikowski. Pochodził z Torunia. W czasie tego samego bombardowania zginęła również Sabina Straszewska, autorka tomiku wierszy, wydawanego przez Tyszkiewiczza, z ozdobnikami Conti'ego. Pracowali oboje w grupie teatralnej, zmontowanej przez polską Y.M.C.A. i działającej pod okupacją.

Przesyłka kurierska jednej z naszych organizacji podziemnych, pracujących we Francji pod Niemcami, docierała regularnie dwa razy na miesiąc z Paryża do Madrytu. Zawdzięczając polskiemu zmysłowi organizacyjnemu ludzi z tamtego terenu, przesyłka ta, przechodząca sztafetą przez wiele rąk, odbywała tę nielegalną i niebezpieczną drogę w ciągu jednego tygodnia. Z Paryża do Madrytu, powtarzam.

Z Madrytu do Londynu natomiast — już niemal oficjalnie i z wszystkimi ułatwieniami — szła dwa tygodnie.

Jean Desbordes, autor *J'adore* (z przedmową Cocteau) oraz książki o markizie de Sade, pracując w jednej z naszych organizacji, wpadł w ręce Niemców. Torturowali go dwa dni, próbując wydobyć wiadomości o naszych ludziach. Zginął, nie powiedziawszy ani słowa.

Wśród pisarzy francuskich, którzy oddali życie za wolność, znajduje się m. in. Jean Prévozt, autor *Merlin*, który zastrzelony został w Sassenage pod Grenoble, dalej, Pierre Brossolette, znany dziennikarz, którego chwycili Niemcy w drodze do Anglii i który, straszliwie męczony, wyskoczył z piątego piętra.

Jean Cassou, który pod pseudonimem Jean Noir wydał ostatnio trzydzieści sonetów, nie napisanych, ale wymyślonych i spamiętanych w ciemnicy więziennej, został straszliwie zmasakrowany w ostatnim dniu okupacji Tuluz, ale żyje.

Słynne w *Résistance* nazwisko Colonel Berger — okazało się pseudonimem znakomitego autora *Doli człowieczej i Zdobywców* — André Malraux.

Dzieci w Paryżu, podpatrujące Niemców, wymyśliły nową zabawę. Bawią się teraz w kamuflaż.

Zatykają we włosy gałęzie, trawę i liście. Smarują sobie twarz sadzą. Na wózkach dziecinnych pęki zielska. W pokoju dzieciennym barykady.

Kiedy Niemcy opuszczali Paryż w wozach, obwieszonych tą ochronną zielenią, z zatkniętymi w siatki gałęziami, jak gdyby wyruszyli na majówkę, Paryżanie zwracali się do nich: *Alors, Messieurs, toujours en fête?* (Panowie, ciągle jeszcze świętujecie?).

Bohaterką *Résistance* w interpretacji teatryku *Les Deux Anes* jest pewna paniusia na przedmieściu, która, słysząc któregoś rana ogromne zamieszanie i strzelanie na ulicy, wyszła w białizinie na balkon i powiedziała do Niemców, broniących się w dole: „Kto widział budzić ludzi o tak wczesnej porze? Spać nawet nie pozwalają. Wynocha stąd. *Allez vous en*”.

No i wynieśli się Niemcy.

Nie ulega wątpliwości, że Niemcy uszanowali Paryż. Co tu gadać, — ugięli się przed jego wyjątkowością.

Imponował im sam fakt, że, w nim są. I pragnęli wobec tego, aby był najbardziej autentyczny, przedwojenny o ile możności.

Ale to wszystko nie tłumaczy jeszcze ich poprawnego stosunku do stolicy świata, jako takiej. Bo człowiekiem, który obronił Paryż przed artystyczną interwencją niedoskiego architekta i malarza (jak się okazało, nie pokojowego wcale) jest, zdaniem wtajemniczonych, rzeźbiarz Arno Brecker, uczeń Rodin'a. On to obwoził Führera po Paryżu w roku 1940. On interpretował dla Hitlera jego piękno i zalecał, by go nie poprawiać, ani nie niszczyć.

Wiemy jednak, że nie wszystkie stolice Europy miały tak wymownego rzecznika ich wartości kulturalnych i estetycznych wobec czołowych przedstawicieli narodu *Kulturtragerów*.

Jean Cocteau opowiada mi o Niemcach. — Ze ich widywałem jak najmniej i jak najrzadziej, choć garnęli się mnie odwiedzać, — nie przypisuję sobie w tym specjalnej usługi: nudzą mnie bowiem śmiertelnie. Był u mnie znany pisarz, Jürgens, — po kwadransie nie wiedziałem, o czym z nim rozmawiać. Jakaśkolwiek propaganda przyprowadza mnie o niestrawność. To tak, jak opowiadanie rzeczy, w których nie brało się udziału, na przykład cudzych snów. Zapewniali mnie zwykle: nie uczynimy panu nic złego, może pan czuć się bezpiecznie. Że to ja niby także cząstką tego oszczędnego Paryża. Odpowiadałem z głębokim przekonaniem: ależ proszę bardzo, rozstrzelajcie mnie, wysładźcie mnie o ogromną przysługę. *Fusillez moi, vous me rendrez le plus grand service*. Z punktu widzenia miejsca mojego w historii, oczywiście. Ale cóżby ich to obchodziło? I nic dla mnie nie chcieli zrobić aż do końca.

Picasso przystąpił do partii komunistycznej. Na otwartej ostatnio wystawie tego malarza w ramach Jesiennego Salonu w *Palais de Tokio* nie ma obrazu jego po cenie niższej, niż milion franków.

Maurice Chevalier przystąpił niedawno również.

Paryski pomnik Mickiewicza na placu Alma, jedyny już dziś w Europie, stoi nietknięty. Przejeżdżam przez plac polskim samochodem, poruszonym tym widokiem, tak mi się zdaje dziś niespodziewany, tak przejmujący. I mówię do szofera:

— Co pan na to? Naszego Mickiewicza zostawili.

— A bo, proszę pana, — tłumaczy szofer-filozof, — w cywilnym stroju to im nie przeszkadza. Pewno nawet nie zauważyli, że Polak. Bo żeby tak w mundurze tu stoją, toby go już dawno nie było...

Wybuch wojny 1914 r. zastał porucznika de Gaulle w 33 pułku piechoty, którym dowodził „*un certain Philippe Pétain*”. W r. 1916 de Gaulle dostaje się do niewoli niemieckiej, skąd pięć razy — zawsze bez powodzenia — stara się uciec. Jest m. in. więziony w — Magdeburgu. Po jednej z takich nieudanych prób przenoszą go do Ingolstadt. Tam jego towarzyszem niedoli jest „*pe-wien elegancki oficer rosyjski, jeniec jak i on sam, Tuchaczewski*”. Już po wojnie, w r. 1921 otrzymuje przydział do francuskiej misji wojskowej w Polsce: „W r. 1921 jest on członkiem misji wojskowej, którą Francja wysłała do Polski dla obrony swego alianta, i jest przydzielony do sztabu Weyganda. De Gaulle ma częste kontakty z Piłsudskim i wraca do Francji z krzyżem św. Wencysława (sic!) i jednym doświadczeniem więcej”.

## Sprawy literackie

Wielcy pisarze zawsze byli najlepszymi ambasadarami Francji w świecie. *La Pr. de Fr.* sprawom literackim poświęca wiele miejsca. Jest to materiał bardzo rozmaity: plotki, anegdoty o pisarzach, zapowiedzi wydawnicze, artykuły zasadnicze, fragmenty nowych dzieł.

Z notatek dowiadujemy się np., że w latach okupacji skompromitowała się Akademia Goncourtów. Zato Akademia Francuska wyszła raczej obronną ręką. Choć nie brak i na nią ataków (kiedy zresztą icn brakło?). Atakowana jest decyzja Akademii nie wykreślania z listy członków Akademii Pétaina i Maurrasa tak długo, dopóki nie zapadną przeciwko nim wyroki skazujące. Spośród pisarzy kolaboracjonistów najwięcej pisze się o Maurrasie. Nic w tym dziwnego. On i Montherlant to byli wśród kolaboracjonistów jedyni pisarze pierwszoplanowi, naprawdę wybitni. Ale podczas gdy Montherlant nie reprezentował niczego poza swym egotyzmem i arogancją (i — trzeba przyznać — talentem wspaniałego stylisty), Maurras miał ambicje przewodnictwa duchowego. Przy tej okazji warto podkreślić, że błędem byłoby przypuszczać, że linia podziału między kolaboracjonistami a pisarzami, którzy trzymali się na uboczu, to linia podziału między pisarzami pravicowymi a lewicowymi. Wspomniany wyżej Montherlant podkreślał przed wojną swoją apolityczność m. in. i przez to, że ogłaszał swoje rzeczy także i w komunizującej *L'Europe*. Z drugiej strony nawet wrogowie polityczni przyznają w jednej z notatek stojącemu przed wojną blisko *Action Française* znakomitemu krytykowi i publicyście Thierry Maulnier (pisarz ten, autor wspaniałej książki o Rasyne i wydanej tuż przed wojną *Introduction à la poésie française*, która wywołała rewolucję w naszych poglądach na dawną poezję francuską, to chyba najwybitniejszy dziś krytyk francuski), że podczas okupacji zachował się „poprawnie”.

Przeważają nazwiska pisarzy, których znamy jeszcze sprzed wojny. Swego rodzaju sensacją jest debiut sceniczny Valéry'ego. Przedrukowano też kilka scen ze sztuki Gide'a *Robert ou l'Intérêt Général*. Wśród zapowiedzi wydawniczych mamy m. inn. tom wspomnień Romain Rollanda o Péguy i braci Tharaud o Barrèsie. Zamieszczono pochlebną recenzję nowej powieści Aragona *Aurélien* (warto przy tej okazji zwrócić uwagę na słiczny w swej świeżości i bezpośredniości ekspresji przy wyjątkowej prostocie środków technicznych wiersz tego poety *La rose et le réséda*, ogłoszony w sierpniowym zeszycie *La Nef*).

Wszystko to jednak stara gwardia, ludzie dobrze już znani sprzed r. 1939. Ciekawi jesteśmy nowych talentów, nowych nazwisk. Jest ich niewiele. Wydarzeniem było ogłoszenie w podziemnym wydawnictwie powieści *Le silence de la mer* Vercorsa (prawdziwe nazwisko pisarza: Desvignes). Powieść została już przetłumaczona na język angielski i bardzo dobrze przez krytykę angielską przyjęta. Teraz zapowiada się drugą książkę tego autora, *Le songe*.

Pierre Champronis w obszernym artykule, zamieszczonym w *Gavroche*, prezentuje czytelnikom innego nowego pisarza, Alberta Camus, filozofa, powieściopisarza, dramaturga i czołowego publicystę *Le Combat*. Miejscem akcji jednego z jego dramatów p. t. *Malentendu* jest, zdaje się, Polska. Zdaje się, — bo w artykule jest ono określone jako „szara i ponura wioska Europy Środkowej”. Ale bohater ma na imię Jan. Bohater ów wraca po dwudziestu latach pobytu w Ameryce Południowej, gdzie dorobił się majątku, do swej rodzinnej wsi. Zatrzymuje się w karczmie, prowadzonej przez jego matkę i siostrę. Ale nie zdradza swego incognito. Zorientowawszy się, że tajemniczy przybysz ma przy sobie większą sumę pieniędzy, obie kobiety zabijają go.

Jest to więc z niewielkimi różnicami fabuła *Niespodzianki* Rostworowskiego. A żeby wprawić nas w jeszcze większe zakłopotanie, autor artykułu informuje nas, że Camus ma także w swoim dorobku dramat o — Kaliguli.

Z pochodzenia Polakiem jest również bohater powieści, którą *La Pr. de Fr.* zaczęła, począwszy od numeru trzeciego, przedrukowywać z *Les Lettres Françaises*. Napisala tę powieść Elsa Triolet. Dla autora tych uwag nazwisko to niewiele mówi. Elsa Triolet ogłosiła swego czasu w *Nouvelle Revue Française* swoje wspomnienia o Majakowskim, którego oprowadzała po Paryżu. Bodaj że jest też ona tłumaczką Majakowskiego na język francuski. Powieść nosi tytuł *Alexis Slawsky, artiste peintre*. Slawsky — czytamy tam — „artysta malarz, był Francuzem w drugim pokoleniu. Łączył on w sobie błękitną krew polskiej szlachetki z purpurową krwią pięknej rosyjskiej Żydówki”. Akcja powieści rozpoczyna się w strefie nieokupowanej w jesieni 1940 r. Poza tą genealogią bohatera w powieści, jak dotychczas, jest tylko jedno drobne *polonium*. Oto jedna z postaci powieści tłumaczy, że na dobrą sprawę każdy z Paryżan może bezpiecznie wrócić do siebie, pod okupację: „Kiedy się nie jest ani emigrantem niemieckim, ani Polakiem, nie widzę, dlaczego by się nie miało wrócić do siebie”.

Wspomnijmy jeszcze o jednym osobliwym *polonium* z przedrukowanych artykułów literackich. Oto Fernand Grenier, autor artykułu o kolicznosciowego, poświęconego tradycjom przyjaźni literackiej francusko-rosyjskiej, banalnego zresztą, wymieniał w nim także i Balzac z racji jego pobytu na Ukrainie u „księżnej (*princesse*) Hańskiej”.

Przynajmniej raz akcje nasze stoją wysoko.



WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

# BANIA Z POEZJA

## CZĘŚĆ DRUGA

Pół roku próżnowała „Bania z poezją”. Czemu? Od Powstania w Warszawie — złe poetą być, i wolę grzęznąć w ciężkie smutki (na rym czytelnik czeka: wódki, — nieprawda: wolę nie chcieć żyć). I choć tak nie chcę, choć tak wolę, zalewam rozpacz alkoholem, a potem w nocy nagle — w płacz, a potem we dnie — pusty dzień: niema Kolumny, jest jej Cień, i w karty grām, przegrany gracz, i myślę: siostra, myślę: Marja, i myślę: jakby tu, psiakrew?... Wokoło mruczą: pijak, warjat... Nie! We mnie krzywda, we mnie gniew!

Warszawo, żywa nad ruiną, ciebie nie zmożła przemoc carska, Warszawo krwi, Warszawo czynu, Warszawo groźna, robociarska, Warszawo gniewna aż do gruntu, Warszawo krwi, Warszawo buntu, Warszawo zawsze niepodległa, gdzie każda twoja krwawa cegła — to strzał, a każdy dom — to grom; ja tam straciłem bliskich, dom, tam miłość moja w gruzach legła, — i gdy żołdactwo wraże, tępe, twe dumne burzy barykady, gdy mój przyjaciel, Zygmunt Hempel, na bruk twój złożył pierś Hellady, ja...

czytam P.A.T.-a, gryząc pięście, i chciałbym zdążyć, żeby lec i żeby jeszcze mieć to szczęście: grób bezimienny, dumną śmierć.

Więc cóż? Na wieżę Imki wleźć i głową w dół?! Lub przestać jeść? Bo ja się nie dam w cudze karby ująć za cenę złotych gór i zdechnę, a nie zmienię farby. (Ach, Aragonie, c'est l'amour.)

„L'Amour“, „liubow“, „die Liebe“, „miłość“, — jakież jest sens tych pięknych słów? Czy znaczą tylko to, że miło w kochane oczy spojrzeć znów? Czy kochać tak, jak chce Ariosto, czy też z ironją, byronicznie? Miłość znaczenia ma rozliczne, bez definicji, więc poprostu powiadam: wszędzie tam, gdzie krew, gdzie ból, gdzie zrywy całopalne, Gustawa ból, Konrada gniew, gdzie Fatum dzieje co fatalne, — tam Miłość...

Dla mnie jednak śpiew, nie ten tenorem, barytonem, lecz sercem w sobie zachwyconem, głoszący wiekom: warto żyć! — to Miłość — zaprzeczenie Śmierci, istnienia sens i prawd trzy ćwierci, na śmierć się o nią trzeba bić.

\*) For. nr 14 (32).

## Powieść poetycka \*)

Wszędzie, gdzie człowiek się borykał na śmierć, tam Pieśń, tam Miłość wiodła, u stóp szafotu, wśród barykad, a nie w pokorze i nie w modłach. Bo Miłość nie chce znać wyrzeczeń, ona nie zniża, lecz wywyższa, wcielenia chce, a co jej przeczy, to Śmierć, przed którą Byt się wzdryga. Kochajmy się! Swobodni, śmiali, jak ptaka lot, lub jak ten wiersz, a cośmy sercu obiecali, tem ciało niech się żywi też. Inne życie być nie może, więc żyjmy, ale tak jak orzeł!

(Ach! Aragonie! Z tobą Elza, a dla mnie dzisiaj cóż, jak nie iza?...)

Więc śmiejmy się, bo śmiech i żart to bohaterstwa elementy, bez tego łągalby jak najęty, bez tego każdy djabła wart. Więc śmiejmy się... Eheu! Przez łyzy... W Warszawie mostów było trzy... W Warszawie kiedyś kwitły bzy... We Włoszech są dywizje: Trzecia i Piąta; chwała nas w Holandji...

Tak to przez countries i przez Land'y idziemy sobie przez stulecia.

Porucznik Andrzej Waligóra, ponury jak gradowa chmura, nie szczędząc trudu i motoru, na Modlin walił i na Toruń. Po drodze noc cholernie jasna, jakieś tabory, wojska, ruch... „Wartoby kropnąć się i zasnąć, cóż kiedy orać mam za dwóch“. Zaczęło świtać koło Lipna, poranek taki — samoswój, a gdzieś daleko słychać bój, że nawet te skowronki cichną. W Toruniu sprąło Chevroleta odłamkiem bomby. „Gdzie dowództwo? Kaliszak, napraw to paskudztwo, a ja do sztabu. Daj lornetę i staraj się: niech „wtrymigą“ ten motor znów mi pięknie gra“.

Kapitan Krępeć mówi ścicha: „No cóż, wiadomo co tu słyszeć: zrabali dworzec i lotnisko, na całym froncie naprzd prą, ścisk w niebie, no a bazy blisko, czołgów do djabła, lepsza broń. Ale jak dotąd front się trzyma, jeszcze ich w Krzynowłodzy niema, chociaż natarli na Szesnąstą; jak mur tam trzeba będzie stać, ale już wzięli Nowe Miasto i pójdą dalej, psia ich mać. Narazie rozpoznanie: Grudziądz zabiorą, nawet się nie trudząc. Grzmot atakuje. Słaba szansa: Hughes przestał gadać od kwadransa. Ja myślę, bracie: nas tu zetrą...“

Linja oporu: Bydgoszcz—Mława, właściwie: Modlin i Warszawa... Masz do Bołtucia kilometrów pięćdziesiąt. Daj papiery. Jedź! A chcesz wesół pogrzeb mieć, kropnij jednego: husia — sisia! i dymaj prędko do Bołtucia“.

Kaliszak już naprawił motor, zatrzasnął drzwiczki, czoło otarł: „Ja z tych stron jeżdżem, ślepy Mazur, nad Wisłę tu chodziłem z wędką...“ „Jedźże, pieronie, i to prędko!“ „Wedle rozkazu! Dajem gazu!“

Szli Niemcy... Zewsząd Niemcy szli, zaboreczy, zbrojni, groźni, źli; z Pomorza, Śląska, Wschodnich Prus pancerny szedł za wozem wóz. Szli Niemcy... Motor, gąsienica, pancerna, dawna moc krzyżacka, ze wszystkich naraz stron, znienacka, — a my? — piechota i konnica... Szli Niemcy... W imię czego szli do naszych miast, do naszych wsi? Szli Niemcy... Nieśli mord i butę i świat się zatrząsł pod ich butem, i już nie było miast i wsi, tylko czerwone morze krwi. Szli Niemcy...

Stasio podchorąży zapalił „egipskiego“: zdąży czy nie, wypalić, nim się zacznie natarcie? Wciągnął pierwszy dym, wypuścił, no i razem z nim zaczęło myśleć się opacznie: „Krystyna? Przecież to — nie to, takich jak ona znajdę sto, a wojna? — toć to nie ostatnia, Warszawę zwałą? — pal ich sześć, a nietzscheańska życia treść zaczyna cuchnąć, już się gmatwa, i myślę: Schopenhauer srogi miał pikielhaubę i ostrogi... Tatuś-bidulek... Trzy pokoje na Wspólnej... Kichać w niepokoje... Ja sobie żyję, sobie zdechnę, a będę zdychał, to se westchnę...“

Tu wrzasnął gwizdek. Więc z bagnetem poleciał naprzód przez buraki, przez strumień przelazł, jak przez Letę, przez parkan jakiś laź okrakiem, a wkoło kulki: fiu — fiu — fiu, a każda mówi ci: „adiu“, a Stasio wali naprzód szpurtem, a tam sześć czołgów... — „Sanitarjusz!...“ — To podporucznik. Żyje? Zmarł już? — A kulki gwizdzą. Z tego nurtu wyłania się „M.—4“, — czołg, który iak świnia lezie w teren. Więc Staś — granatem, i z hitlerem już kwita. Zniknął czołg. „Paszół“. Coż dalej? Czołgi się cofają, ale natarcie wciąż macają, i Stasio nagle, czort wie jak, upadł, przewrócił się nawznak, i — „śpij, kolego, w ciemnym grobie, niechaj się Polska przyśni tobie“.

## Trzynastu „czarnych“ kardynałów



Umberto Beseghi. I tredici cardinali neri. Florencia, Marzocco, 1944.

Rola polityczna Watykanu w czasie wojny obecnej będzie na pewno tematem niejednego studium. Każdy mieszkaniec Rzymu wie o tym, że Wieczne Miasto uratowane zostało od zniszczenia dzięki interwencji Papieża. We Włoszech znane są ogólnie różnice poglądów, które wyrosły między Stolicą Apostolską a faszyzmem. Rola głowy kościoła katolickiego jako autorytetu moralnego, tak potrzebnego dla przyszłej budowy świata, brana jest pod uwagę i przez oddalone od wiary katolickiej ośrodki myślowe w U.S.A. i w Anglii.

Na kilka miesięcy przed zajęciem Florencji przez wojska sprzymierzone ukazało się tam studium Umberto Beseghi o trzynastu „czarnych“ kardynałach. Rzecz dzieje się za Napoleona I i poświęcona jest jednemu z etapów walki cesarza Francuzów z papieżem i wiernymi mu kardynałami.

Papież Pius VII przebywał w Savonie, aresztowany przez Napoleona, który po zajęciu Rzymu zniósł władzę świecką papieża. Lecz Bonaparte nie chce pomimo ekskomunikacji zrywać zupełnie z kościołem, którego autorytetu potrzebuje dla walki z czynnikami

rewolucyjnymi i dla utrwalenia dynastii. Małżeństwo Napoleona z Józefiną zostaje unieważnione przez urząd diecezjalny paryski, w sprzeczności z prawami kanonicznymi, które wszelkie prerogatywy w tym zakresie zachowują dla Stolicy Piotrowej. Napoleon przywiązuje wielką wagę do tego, by na ceremonii ślubu jego z Marią Ludwiką obecni byli kardynałowie, dając przez to świadectwo, że ślub ten zgodny jest z przepisami kościelnymi. I oto znajduje się trzynastu kardynałów z sekretarzem Stanu, Consalvi, na czele, którzy wyłamują się z posłuszeństwa wobec Cesarza i nie przybywają na uroczystość ślubu kościelnego. Napoleon każe ich aresztować za „zamach stanu“ przeciwko dynastii, gdyż tak ważna dla niego sprawa legalności następstwa tronu jest przez ów zuchwały krok kardynałów zakwestionowana. Kardynałowie pozbawieni zostają swych diecezji i prawa noszenia purpury (stąd nazwa: „czarni“ kardynałowie). Wypuszczeni na wolność po zawarciu przez papieża konkordatu z Cesarzem, 25 stycznia 1813 r., ponownie zostają zesłani na wygnanie, gdy stosunki między Napoleonem a Piusiem VII znowu się psują.

Książka Beseghi pisana jest interesująco i żywo. Na tle kanwy historycznej zawiera wiele momentów o charakterze aktualnym w czasie, gdy kościół katolicki tyle ma do czynienia z reżymami dyktatorskimi.

Dla czytelnika polskiego jest ciekawym szczegółem, że wśród trzynastu opierających się Napoleonowi kardynałów znajdowało się dwóch, których losy związane są z ostatnimi latami Polski Przedrozbiorowej.

Kardynał Ferdynand Maria Saluzzo z neapolitańskiego rodu książąt di Corigliano był ostatnim nuncjuszem papieskim w Polsce XVIII w. Cesarska policja, która pod kierownictwem Fouché'go interesowała się bardzo dokładnie kardynałami, daje następującą charakterystykę kardynała Saluzzo: „C'est un bel homme qui a quelque éducation et qui est à peu près nul dans les affaires. Il a été le dernier nonce de Rome en Pologne. Il suivra la foule sans se mêler de rien“. Będąc takiego zdania o Saluzzo, agenci policyjni musieli być zdziwieni, gdy znaleźli się w nielicznym gronie kardynałów, ryzykujących ściąganie na siebie gniewu Napoleona.

Kardynał Wawrzyniec Litta był również przedstawicielem Stolicy Apostolskiej w Polsce. Poza tym jeździł jako reprezentant Papieża na koronację cesarza Pawła I do Petersburga. W czasie swego tam pobytu doprowadza do skutku trudne dzieło ustanowienia nowej hierarchii kościelnej katolickiej na ziemiach polskich, włączonych do Rosji. Hierarchia ta przetrwała aż do czasu rewolucji 1917 roku i późniejszych prześladowań kościoła w Rosji.

bl.



Od 150 lat uważa się Jana Jakuba Rousseau za ojca duchowego demokracji. Stwierdziliśmy jednak, że jego *Umowa społeczna* została napisana z myślą rozsądną pewnych sporów wśród arystokracji genewskiej i podziurawia spraw Rady Głównej (*Conseil Général*) przeciwko nadużyciom i uroczeniom Rady Dwustu i Rady Mniejszej (*Petit Conseil*), że Rousseau w najmniejszym stopniu nie przeczuwał, czym będzie demokracja XIX stulecia. Rada Główna, w której zasiadali jako prawa dziedzicznego wszyscy mieszczaństwo i obywatele Republiki Genewskiej, — nie była zebraniem przedstawicieli narodu w tym sensie, w jakim to rozumiała demokracja wieków XIX. Była to po prostu arystokracja genewska czystej krwi, podczas gdy Rada Dwustu i Rada Mniejsza, w których uczestniczyła za soba część arystokracji, stanowiły tylko jej ułamek.

Stąd wyłoniła się teoria „woli zbiorowej”. Miała to być, — jeśli chodzi o postanowienia w sprawach, dotyczących ogółu, — zjednoczona i niepodzielna wola całego organizmu narodowego, który dąży do ustalenia porządku, sprawiedliwości i bezpieczeństwa. Jest to — *in abstracto* — doktryna niejasna, wymykająca się kontroli, prawie że niezycielna. Jej sens staje się jasny, precyzyjnie się i uwyppukla dopiero wtedy, gdy się ją sprowadzi na grunt rzeczywisty, t. zn. do Republiki Genewskiej i jej walk politycznych, które Rousseau, pisząc *Umowę*, miał przed oczyma. Jasne było, że wiecieńskie „woli ogółu”, t. zn. źródłem suwerenności w Genewie mogła być tylko Rada Główna; tamte dwie Rady musiały się więc jej podporządkować. Był to najoczywistszy rząd arystokratyczny, niezmiennie daleki od demokracji XIX wieku. W poszukiwaniu doktrynalnego uzasadnienia dla siebie po upadku monarchii Wielka Rewolucja zrobiła z Rousseau, który chciał być lekarzem chorej arystokracji, — akuszerą demokracji nowoczesnej. Korzystając z dogodnych niejasności *Umowy społecznej*, udało się z niej wyciągnąć wnioski praktyczne, które Janowi Jakubowi nigdy nie przyszły na myśl.

Przeistnamy się tedy zajmować „wolą ogółu” i wszystkimi sprzecznociami i niejasnościami *Umowy społecznej*, a poszukajmy wytumaczenia nowoczesnej demokracji tam, gdzie je możemy znaleźć: w zasadzie wyborczej i jej postaci bardziej prostej, bardziej bezpośredniej, o zastosowaniu czystszyim i ogólniejszym, t. zn. w akcie przekazywania władzy. Jest to fakt, który obserwujemy codziennie. Co robi ciępa ogółu, z których każda chce osiągnąć pewien wspólny cel, np. bawić się, uczyć się, pomagać sobie wzajemnie, rozszerzać pewne idee, bronić pewnych interesów? Zainteresowane osoby zbierają się, wybierają sobie prezesa, wybierają i wyznajają, przekazują im władzę zrobienia, wszystkiego, co trzeba dla osiągnięcia wspólnych celów, zachęcają siebie jednocześnie kontrolę ich działań. Czyż można przeczyć, że takie postępowanie jest w zgodzie z rozsądkiem i że jest ono sprawiedliwe?

Demokracja nie jest niczym innym, jak tylko zastosowaniem do społeczeństwa zasady przekazywania rządów za pomocą wyborów, aby w ten sposób rozwiązać zagadnienie władzy. Ci, którzy mają podlegać władzy, porozumiewają się co do wyboru pewnej ilości urzędników, którzy będą się zajmowali i sprawami ogólnymi, t. zn. spokojem publicznym, wymiarem sprawiedliwości, obroną granic. Nawet jeśli wybór ten jest aktem suwerennym o najbardziej żywotnym znaczeniu, czyniemy z swojej istocie pozostałe nadal tym, czym jest w przypadkach dużo skromniejszych: mianowicie przekazaniem władzy za pomocą wyborów, które jednocześnie zakładają kontrolę i możność odwołania udzielonych pełnomocnictw.

Jest to zasada bardzo prosta, najzupełniej ludzka, na wskroś praktyczna, wyzuta z wszelkiej metafizyczności i dająca się zastosować do tych wszystkich spraw człowieka, które nie są natury ściśle osobistej. Musimy tu jednak postawić jedno pytanie. Czy można tę zasadę stosować do zagadnienia władzy, czy można jej używać dla przeprowadzenia najbardziej zasadniczego rozgraniczenia ludzi na tych, którzy mają prawo rozkazywania, i tych, których obowiązkiem jest słuchać? Czy władza może być przedmiotem przekazywania, dokonywanego przez tych, którzy będą musieli być posłuszni? Przecznó temu od początku świata i będzie się temu przeczyć do jego końca. Wysuwano mianowicie dwa zastrzeżenia.

Pierwsze z nich utrzymuje, że demokracja jest sprzeczna z samą zasadą autorytetu, ponieważ chce go wydzwignąć z dołu. „Władza przychodzi z góry” — wola Izoulet, wyraził bardzo rozpowszechnionego poglądu. Ale cała ta obiekcja opiera się na pewnej dwuznaczności. W rzeczy samej demokracja narzuca się dzisiaj świadomości młodego, dorastającego Szwajcarza czy Amerykanina tak samo, jak kiedyś monarchia narzucała się świadomości nowych pokoleń: w postaci władzy, ustalonej przez generację poprzednią i naznaczonej takim dostojenstwem, że zmusza do ugiecia się przed nią, bez względu na to, czy im dogadza, czy też nie dogadza. W państwach demokratycznych młodzi uczą się korzystać ze swej malutkiej części suwerenności tak samo, jak za czasów monarchii uczyli się służyć królówi, ponieważ zmuszają ich do tego od dawna ustalone obyczaje. Nie ma pod tym względem żadnej różnicy między demokracją a monarchią.

Tak samo mylne byłoby wyprowadzanie różnicy z początku i twierdzenie, że demokracja w swoim punkcie wyjścia przyjmuje za zasadę, jakoby władza wychodziła z dołu. Wi-

dzieliśmy już, że żadna zasada praworządności nie narzuca się sama przez się i nie działa siłą swego istnienia; każda zostata z początku narzucona przez zorganizowaną mniejszość, starającą się przezwyciężyć opory i niezrozumienie tych, którzy mają słuchać. Początki demokracji i monarchii są jednakowe: jedna i druga utrwalają się przez wysiłek idący z góry. Zobaczyć to wyraźnie trochę później, gdy będzie mowa o głosowaniu powszechnym.

Pierwsze z zastrzeżeń przeciw demokracji nie wytrzymuje krytyki. Poważniejsze jest drugie. Stwierdza ono trudność stosowania zasady przekazywania władzy do spraw publicznych, które są o wiele bardziej złożone od najbardziej zawiłych spraw osobistych. Jakąż porękę naród suwerenny dać jest w stanie, że wybierze przedstawicieli właściwych? Zastrzeżenie to jest śluszne, ale można je zgłócić przeciw każdej formie rządu. Stwierdziliśmy już, że zasada dziedziczności nie daje państwu większej gwarancji dobrych rządów, niż zasada wyborcza.

Zasady praworządności zmieniają się z epoki na epokę nie dlatego, jakoby istniała możność udowodnienia, iż nowa zasada jest lepsza od poprzedniej, ale dlatego, że odpowiada ona bardziej górującej orientacji ideowej, bez względu na swoje braki i niedogodności. Myśl, że ci, których obowiązkiem jest posłuszeństwo, mają prawo wybierania i kontroli tych, którzy mają rządzić, zaczęła się rozpowszechniać na Zachodzie począwszy od drugiej połowy XVIII wieku, w miarę jak zaczęła powaga i siła przysięg wierności monarchii i arystokracji. Z chwilą, gdy w latach 1917 i 1918 wielkie monarchie runęły, idea samorządu narodów,—idea, która od pięćdziesięciu lat sprętała się w zbiorowisku europejskiej jak gąb wycychowy, — rozprzestrzeniła się niby pożar od jednego końca Europy do drugiego. We wszystkich krajach odważne jednostki korzystały ze sprzyjających okoliczności i narzucały narodom, które nagłe uzyskały niezależność, ustrój republik demokratycznych. Jak zawsze, tak i w tym wypadku inicjatywa wyszła z góry. Masy dały się pociągnąć.

Tak oto doszło do tego, że w okolicach roku 1920 wszystkie małe i duże państwa europejskie usiłowały znaleźć nowe źródło władzy w zasadzie przekazywania rządów. Wszędzie powstały republiki. Zastrzeżenie, dotyczące niekompetencji, ani na chwilę nie było w mocy powstrzymać tego obławnego ruchu. Ale wówczas wywniś się straszliwy problemat, ten sam, który kiedyś nękał twórców monarchii. Należało uprząworzyć republikę, skłaniając wszystkich obywateli do uznania abstrakcyjnej suwerenności narodu, którego sobie przeczesa, i wyznajają, przekazują im władzę zrobienia, wszystkiego, co trzeba dla osiągnięcia wspólnych celów, zachęcają siebie jednocześnie kontrolę ich działań. Czyż można przeczyć, że takie postępowanie jest w zgodzie z rozsądkiem i że jest ono sprawiedliwe?

Wszystkich ustrojach pełny rozkwit państwa ureczywistnia się w chwili zetknięcia się dwóch prądów: jednego, płynącego z góry, t. zn. władzy, drugiego, płynącego z dołu, który jest prądem samorządu państwa. T. j. prądem, który jest ten sam w monarchiach, co w demokracjach, jednak w ustroju demokratycznym jest on o wiele trudniejszy. Istnieje tu dość rozpowszechniony pogląd, że nie łatwiejszego, jak doprowadzić lud do tego, by poczuł się władcą, — jest to jeszcze jedno z wielu żużlen. Mniejszości, które usiłowały ugurtować demokrację, natknęły się na przeszkody o wiele większe od tych, które wchodziły w drogę założycielom monarchii.

Widzieliśmy, z jakim uporem część, — prawdopodobnie większość, — Francji uchylała się od suwerenności, którą Rewolucja chciała jej obdarzyć. W chwili, gdy runął stary ustrój, — prawie cała arystokracja, prawie cały kier wyższy, wpływowa część mieszczaństwa, klasa posiadająca i intelektualist odmówili objęcia kierownictwa państwa. W ten sposób powstała przerażająca próżnia, która pochłonęła Rewolucję i spowodowała jej załamanie. Zbyt duża część arystokracji i mieszczaństwa we Francji, przyzwyczajona od wieków do wielbienia Korony, do służenia Jej i Kościolowi w roli dworzan, pełnomocników, urzędników, prawników, pisarzy, profesorów, artystów i emia się jeszcze przy końcu XVIII wieku nie klasa suwerenna, ale klasa poddanych i była z tego stanu rzeczy zadowolona; lubiąa zginać kark przed władzą króla, jako przed autorytetem nadrzednym, od którego była zależna, a który nie był zależny od niej. W późniejszych pokoleniach stopniowo ten duch poddańczy słabnie, zwłaszcza wśród mieszczaństwa, ale zachowa jeszcze dość sily, aby wpłynąć na postawę mas i paraliżować duży ich odłam, utrzymując go w stanie poddaźliwej rezerwy względem nowej zasady praworządności. Skutek tego był taki, że jeszcze w r. 1848, a więc w przeszłości, po od Rewolucji, naród francuski ociągał się z przyjęciem i w końcu uchylił się od przyjęcia korony suwerenności, którą mu ofiarowała Druga Republika. Dopiero Trzecia Republika mogła sobie pozwolić po r. 1870 na pełne zastosowanie zasad demokracji, chociaż nie obyło się to bez zażartych walk.

Dramat, który rozegrał się we Francji, powtarza się od dwudziestu lat z pewnymi odmanami we wszystkich krajach Europy, na skutek katalizmu, jaki dotknął monarchie w latach 1917 i 1918. W żadnym z krajów europejskich, których rządządy wielkie monarchie, — ani we Włoszech, ani w Hiszpanii, ani

GUGLIELMO FERRERO

w Niemczech, ani w Austrii, ani w Rosji, — nie było arystokracji, czy mieszczaństwa, czy klasy posiadającej i intelektualistów, która by była w stanie objąć rządy państwa. Klasy wyższe i średnie nigdy nie posiadały duszy władczej, nigdy poważnie nie myślały o tym i nie czuły możliwości żądania dla siebie praw i przejęcia obowiązków suwerenności; wolały zawsze podlegać władzy nadrzędnej, która by im zapewniła spokój i korzyści wyższego stanowiska społecznego bez jednoczesnego ponoszenia odpowiedzialności i trudów, jakie pociąga za sobą czynny udział w rządzeniu państwem.

Sprzeczności i absurdalności, związane z pojęciem nieomyślności monarchar, przyczyniły się po r. 1848 do powstania podskórnych prądów niezadowolenia i irytacji nawet w krajach, w których monarchia była jeszcze ciele silna. Ale po to, by klasy wyższe, od wieków przyzwyczajone do służenia, były w stanie objąć rządy w wielkiej dyastli, które nagle zniknęły w rozgminie dziełw, wyboba było o wiele głośniejsze przygotowania, aniżeli to było nieokreślone odruchy nerwoweści. Lud we wszystkich krajach o nastroju monarchistycznym był oczywiście także obojętny i bierny, z wyjątkiem odłamów, objętych propagandą socjalistyczną.

Europa jest jeszcze, podobnie jak Azja, kontynentem monarchistycznym. Jedynie państwa, w których lud ma wolę rządzienia, gdyż nauczyły się już korzystać ze swej niezależności, i w których wskutek tego ustrój demokratyczny stał się praworządny, to Anglia, Szwajcaria, Holandia, kraje skandynawskie. Francja i Belgia zajmują stanowisko pośrednie: zdolność do rządów demokratycznych jest szeroko rozpowszechniona, ale jednocześnie istnieją w nich jeszcze silne opory. Cała reszta kontynentu przeżywa ciągle okres przygnębionych obaw i oporów, jakie przynosi ze sobą nagła wolność.

Uprząworzenie demokracji, t. zn. uzyskanie na nią zgody ludów, które niegdyś podlegały monarchii, będzie zadaniem trudnym, chociaż ustrój demokratyczny jest po upadku monarchii jedyną formą rządu, zdolną stać się praworządną. A dzieje się tak właśnie dlatego, że dużo jest trudniej niż w monarchii spełnić warunki niezbędne do temu, aby rząd demokratyczny, który się narodził z zasady samorządu, mógł być w stanie rządzić państwem. Zrozumiemy to lepiej, zbadawszy główne zasady.

Ażeby zrozumieć te straszliwe trudności, nie należy nigdy zapominać o tym, że zasada praworządności nie może być ani oszustwem, ani farszą. Bez względu na to, czy jest śluszna, czy niesluszna, rozsądna czy absurdalna, zawsze musi ona zawierać w sobie załękę istotny, musi pokrywać się z rzeczywistością, być spójną z faktycznym i skutecznym. W jaki sposób może suwerenność, która jest władzą, być w rzeczywistości dotykana i skuteczna? Byłoby to zagadnienie proste i łatwe do rozwiązania, gdyby opinia narodu była jednorodna, jasna i precyzyjna co do metod i celów władzy i osób, ją sprawujących. Ale jednomyślności, jeśli chodzi o wolę zbiorową, o wiele bardziej jeszcze, aniżeli gdy chodzi o wolę pojedynczych osób, — jest zdarzeniem bardzo rzadkim, a brak zdecydowania zjawiskiem bardzo częstym. Jest to naturalne, że we wszystkich wielkich zagadnieniach wola ludu dzieli się na większość i mniejszość; i także to, że podział ten dokonywa się z wysiłkiem i jest bolesny, ponieważ wielu ludów trudno się zdecydować, czy mają głosować z większością, czy z mniejszością.

Jaki jest związek większości i mniejszości z niezależnością wola ludu? Oto główne zagadnienie wszystkich demokracji, które zdążają do praworządności. Jakielkowiek są wybory, za których pośrednictwem suwerenny naród daje wyraz swej myśli, — mniej lub więcej ograniczone, ogólne wszystkich mężczyzn, czy o ogólne obojga płci, — nie ulega wątpliwości, że wola ludu nie może utożsamiać ani z wolą większości, ani z wolą mniejszości; że obie stanowią trzony jednej woli niezależnej; że wola wola niezależna jest w tych dwóch częściach równie stanowczych wobec: większość i mniejszości. Zduśnienie woli jednego lub drugich jest więc niemożliwe, jeśli się nie chce okaleczyć woli niezależnej i zamęcić źródła praworządności. Trzeba, by obie przeciwstawione wole mogły się swobodnie ujawnić, aby obie mogły działać jednocześnie, nie przeszkadzając sobie wzajemnie, t. zn. każda w swoim, przez drugą stronę uszanowanym zakresie.

Jakie są te dwa szczególne, wzajemnie nietykalne zakreśy? Jest to rząd i opozycja. Większość ma prawo sprawowania rządów, mniejszość ma prawo uprawiania opozycji i krytykowania większości, aby zabić o stanie się z kolei większości. Dlatego opozycja jest w krajach demokratycznych tak samo żywotnym organem suwerenności ludu, jak rząd. Zdusić opozycję, to znaczy zdusić niezależność ludu. Demokracje anglosaskie używały to ważną prawdę, wyznaczając w swoim bodzie pensję zarówno dla głowy rządu, jak i dla przywódcy opozycji.

Większość i mniejszość, prawo rządzienia i prawo do opozycji: oto dwie podstawy, na których opiera się praworządność demokratyczna. Wyłania się tu jednak straszliwie za-

wikanie, tak samo niebezpieczne dla demokracji, jak dla monarchii niebezpieczna była trudność ustalenia prawa następstwa tronu. Władza i opozycja to dualizm. Każdy dualizm ma dążność upodobnienia się do tych dwu wiecznie zwalczających się, nieprzejednanych wrogów, których istnienie ciąży na całym naszym życiu — dobra i zła. Dualizm prowadzi do walk, w których każda z walczących stron uważa siebie za wcielone dobro, a przeciwną za wcielone zło. Dualizm prowadzi do nienawiści, pogardy, niemożliwości porozumienia się — jako jedynej możliwości zakończenia konfliktu.

Widzieliśmy już jednak, że państwo, jakiekolwiek było, dopiero wówczas staje się w pełni praworządne, gdy mu się udaje przywiązać do siebie swych poddanych. Przywiązanie zaciera wówczas wszystko to, co w samej zasadzie praworządności jest umowne i irracjonalne. Przywiązanie to może narodzić się tylko z miłości albo z poszanowania; nie będziemy jednak mieć woli, ani poszanowania, jeśli zastosowanie zasady praworządności doprowadzi do rozdzierającego wszystko dualizmu. Demokracja podlega w rezultacie temu samemu zasadniczemu prawu co i monarchia: albo jest tworem jednolitym, albo nim nie jest. Oto głębokie, prawie ezoteryczne znaczenie tego, co Rousseau nazywa „wolą ogółu”.

Jak pogodzić jedność z dualizmem władzy i opozycji? Oto jeszcze jedno zagadnienie, z którym demokracja musi się uporać, jeśli chce osiągnąć praworządność w pełnym znaczeniu tego słowa. Chęć rozwiązać to zagadnienie, zacznijmy od ustalenia, co jest niezbędne dla większości i dla mniejszości, ażeby prawo rządzienia i prawo opozycji było rzeczywistością dotykana i skuteczną. Trzeba przede wszystkim, by większość nie była mniejszością, udającą większość przy pomocy gwałtu i fałszerstwa, lecz by była większością rzeczywistą; dalej, by mniejszość potrafiła uprawiać opozycję poważną i owocną. Te dwa warunki są zależne od siebie, podtrzymują się wzajemnie, występują tylko w ścisłym współistnieniu.

Abv mniejszość była w stanie uprawiać opozycję poważną i owocną, potrzeba jej solidnie ugruntowanego systemu rządowego, swobod politycznych: wolności prasy, słowa, gromadzenia się; trzeba jej gwarancji wolności głosowania; trzeba, by wola narodu nie była fałszowana przez nacisk, terror, przekupstwo. Lecz fałszująca większość, — stanowiąca tylko zakamuflowaną mniejszość, — będzie się zawsze zbyt obawiała opozycji, by jej lojalnie pozwolić na wyrażenie swej woli. Większość powinna być, tak samo jak i większość rzeczywista, powinna być wyrazem szerokiego i głębokiego prądu opinii i powinna w każdej chwili być zdolna stać się większością w ramach panującego ustroju. Może do tego doprowadzić — bądź przez pewne transakcje, bądź przez pomnożenie swych szeregów. Nie ma nic bardziej dla demokracji niebezpiecznego, niż istnienie małych grupek, żyjących do siebie dość nienawidnie, które nie zgadzają się z rządem, a których opozycja może tylko doprowadzić do całkowitego podważenia praworządności. Najlepszym dowodu dostarcza pod tym względem historia Trzeciej Republiki.

W poszanowaniu i przez poszanowanie tych obopólnych ograniczeń rząd i opozycja stają się solidarnymi narzędziami jednej woli zbiorowej i rozwiązują dualizm. Anglia i Szwajcaria stądowa księżka i księżniczka. W tonie woli zbiorowej nie jest urojeniem. Kilka tysięcy narodów osiągnęło te wspólnotę i są one dzisiaj wzorem naszego bliskiego czy dalekiego zblawienia. Najcenniejszym owocem wspólnoty jest przywiązanie mas do instytucji demokracji. Przywiązanie to jest konieczne, jeśli praworządność demokracji ma być w pełni osiągnięta, szacunek stanowi jego więź najsilniejsza.

Demokracja nie może, jak monarchia, wzbudzić miłości, gdyż jest formą rządu bardziej odrażaną i bezosobową. Niezwykłe dynastie i królowie, którzy mieli wielką i skutecznie, w tonie woli zbiorowej nie jest urojeniem. Kilka tysięcy narodów osiągnęło te wspólnotę i są one dzisiaj wzorem naszego bliskiego czy dalekiego zblawienia. Najcenniejszym owocem wspólnoty jest przywiązanie mas do instytucji demokracji. Przywiązanie to jest konieczne, jeśli praworządność demokracji ma być w pełni osiągnięta, szacunek stanowi jego więź najsilniejsza.

Wielkość parlamentów, powołanych w Europie w XIX wieku, była pod tym względem poroniona: nie były to narzędzia prawdziwej większości, lecz zakamuflowanych i wrogich sobie mniejszości. Ponieważ zachowanie *fair play* nie było możliwe, parlamenty te stały się przeważnie nurzaniem hipokryzji, oszustw i gwałtów, wymyślonych do bytataśowania wole ciat wyborczych w podwójnym celu: stworzenia fałszywych większości i zduszenia praw opozycji. *Fair play* to najważniejsza cnota praworządnej demokracji, cnota bardzo trudna, nad której zachowaniem trzeba, nawet w krajach naprawdę wolnych, stale czuwać. „Okres wyborów w moim kraju jest ohydny”, — oświadczyła mi kiedyś dnia moja kucharka, opowiadając o intrigach i krętactwach, jakie uprawiają w jej obojętnie partii politycznej. A jest ona obywatelką kraju, w którym ustrój demokratyczny zdołał już dojrzeć i osiągnąć znaczny stopień doskonałości. Ichybienia, które ganiła, były w stosunku do tego, co się dzieje w krajach o powolniejszym rozwoju demokracji, bardzo nieznaczne. Wystarczyło to jednak, by wzbudzić w świadomości kobiety z ludu, pobożnej i uczciwej, uczucie niepokoju, wywołać odrazę i oziębienie przywiązanie, które władza praworządna powinna sobie pozyskać.

Autoryzowany przekład TYMONA TERLECKIEGO.

Drugi warunek tego, by prawo władzy i prawo opozycji były rzeczywistością dotykana i skuteczną, jest następujący: większość musi być nie tylko większością realną, ale musi także mieć w pełni świadomość tego, że jest z natury rzeczy tworem niestałym. Większość musi z góry wyrzec się użycia swej władzy dla utrwalenia się przy rządach, musi zrezygnować z chwytania się gwałtu i fałszerstwa w tym celu, by mniejszość z kolei nie stała się większością. Ci, którzy są przy władzy, chcą się przede wszystkim sami przy niej utrzymać. Następnie, o ile możności jak najpóźniej, kiedy będą zmuszeni ustąpić, chcą władzę przekazać wybranym przez siebie następcom. Nic nie jest bardziej przykre dla jakiegokolwiek rządu, niż świadomość, że jego istnienie jest przejściowe.

Demokracja staje się dopiero praworządna, gdy jej rząd potrafi się zdobyć na z góry powziętą, prawie nadludzką rezygnację, gdy potrafi poddać się lojalnie, bez żadnych ukrytych intencji, prawu subordynacji względem niezależnej woli narodu, wyrażającej się w sposób nieskrępowany i równy dla wszystkich partii politycznych. Tylko rzeczywista większość będzie umiała z taką podziwu godną lojalnością uszanować prawo mniejszości do stania się większością.

Trzeci warunek, by prawa większości i mniejszości były dotykane i skuteczne, stanowi to, że mniejszość, uprawiając opozycję, musi nie tylko co do litery, ale w najgłębszej istocie uszanować prawo większości do rządzienia. Prawo krytyki może być stosowane z taką zajądliwością, tak niesprawiedliwie i w tak ziej wierze, że potrafi — tak samo jak najgorsze manipulacje i fałszerstwa wyborcze większości — sparaliżować władzę i skompromitować jej praworządność. Jest to dla opozycji w ustroju demokratycznym rzecz bardzo łatwa. Wielkie sprawy ludzkie są pełne niepewności i trudności; każdy rząd, nawet najbardziej inteligentny i pełen najlepszych woli, spotyka się, słusznie czy niesłusznie, z wyrazami niezadowolonia. To niezadowolone, które w ustrojach, nie uznających prawa opozycji, musi się ukrywać, — w demokracji ma pełną swobodę ujawnienia się na zewnątrz. Stąd niebezpieczeństwo, że swoboda wyrodzi się w dątką i niesprawiedliwą napastliwość, która zachwiele praworządność ustroju, wywołując nienawidę do niego i pogardę, t. zn. rozbijając jedność woli ogółu, w której rząd i opozycja, choć stale ze sobą walczą, powinny się połączyć.

Po to, by opozycja umiatała, a nie osłabiała praworządność demokracji, trzeba ją przeprowadzić, podobnie jak wszystkie kampanie wyborcze, z pełną lojalnością, z pełną serdecznością, przy zachowaniu postawy, jaką się zajmuje wobec swego przeciwnika, a nie wobec swego wroga. Czyli jeszcze *raz fair play*. Mniejszość powinna być, tak samo jak i większość rzeczywista, powinna być wyrazem szerokiego i głębokiego prądu opinii i powinna w każdej chwili być zdolna stać się większością w ramach panującego ustroju. Może do tego doprowadzić — bądź przez pewne transakcje, bądź przez pomnożenie swych szeregów. Nie ma nic bardziej dla demokracji niebezpiecznego, niż istnienie małych grupek, żyjących do siebie dość nienawidnie, które nie zgadzają się z rządem, a których opozycja może tylko doprowadzić do całkowitego podważenia praworządności. Najlepszym dowodu dostarcza pod tym względem historia Trzeciej Republiki.

W poszanowaniu i przez poszanowanie tych obopólnych ograniczeń rząd i opozycja stają się solidarnymi narzędziami jednej woli zbiorowej i rozwiązują dualizm. Anglia i Szwajcaria stądowa księżka i księżniczka. W tonie woli zbiorowej nie jest urojeniem. Kilka tysięcy narodów osiągnęło te wspólnotę i są one dzisiaj wzorem naszego bliskiego czy dalekiego zblawienia. Najcenniejszym owocem wspólnoty jest przywiązanie mas do instytucji demokracji. Przywiązanie to jest konieczne, jeśli praworządność demokracji ma być w pełni osiągnięta, szacunek stanowi jego więź najsilniejsza.

Demokracja nie może, jak monarchia, wzbudzić miłości, gdyż jest formą rządu bardziej odrażaną i bezosobową. Niezwykłe dynastie i królowie, którzy mieli wielką i skutecznie, w tonie woli zbiorowej nie jest urojeniem. Kilka tysięcy narodów osiągnęło te wspólnotę i są one dzisiaj wzorem naszego bliskiego czy dalekiego zblawienia. Najcenniejszym owocem wspólnoty jest przywiązanie mas do instytucji demokracji. Przywiązanie to jest konieczne, jeśli praworządność demokracji ma być w pełni osiągnięta, szacunek stanowi jego więź najsilniejsza.

Ustrój demokratyczny zawsze będzie reprezentowany przez swe urządzenia, — przede wszystkim przez parlament, który uchwała prawo, powołuje rząd i dyskutuje nad linią polityki rządu. Rzecz jasna, iż masy nie mogą żyć synowskie ciuności dla parlamentarizmu. Władza ustrój demokratyczny zdołał już dojrzeć i osiągnąć znaczny stopień doskonałości. Ichybienia, które ganiła, były w stosunku do tego, co się dzieje w krajach o powolniejszym rozwoju demokracji, bardzo nieznaczne. Wystarczyło to jednak, by wzbudzić w świadomości kobiety z ludu, pobożnej i uczciwej, uczucie niepokoju, wywołać odrazę i oziębienie przywiązanie, które władza praworządna powinna sobie pozyskać.

dzisiaj — gmachy, ceremoniały, święta, zebrania, demonstracje, akty władzy. Przedstawiele władzy w obecnych czasach kupują ubrania w domu towarowym, jak wszyscy inni. Poważna władza może w demokracji narodzić się tylko z wzajemnego oddania: ludu dla swego rządu i rządu dla swego ludu.

Trzeba, by lud był świadomy swej mikroskopijnej części suwerenności i dumny z niej, by uznał normalną wyższość człowieka wolnego o nad człowiekiem niewolnym, tę wyższość, która się wyraża w przysługujących mu prawach, że rząd o wszystkich wielkich zagadnieniach wspólnych musi go informować i zasięgać jego opinii. Trzeba, by lud chciał z tego prawa korzystać, przyłączając się bądź do większości, bądź do mniejszości, zależnie od układu stosunków.

Rząd z kolei powinien się starać o uzyskanie przywiązania swego ludu, szacunku i zaufania, zaskarbując je sobie przez sprawowanie władzy w sposób prosty, ludzki, stanowczy, ale tak mało wrogi, jak tylko na to stać jakakolwiek władza. Powinien być rządem, który wyszedłszy z ludu i pracując nad zapewnieniem mu dobrego życia, nie ma żadnej tajemnicy, dającemu we wszystkich krajach na Zachodzie prawo po Rewolucji Francuskiej przyjęty chociażby tylko częściowo demokratyczną zasadę przekazywania władzy i nadzoru narodu nad rządem, daje się odczuć stałe dążenie do głosowania powszechnego. W krajach, w których zwrócenie pici poszło dalej, — pojęcie suwerennego ludu obejmuje wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety od pewnej dolnej granicy wieku wzwyż.

Możemy się teraz zająć innym, żywotnym zagadnieniem demokracji: zagadnieniem wolności politycznej. Nie należy jej utożsamiać z innymi formami wolności, które, choć wywodzą się z tego samego źródła, są jednak wobec wolności politycznej tym, czym są gąbże w stosunku do pnia. Na przykład wolność myśli. Często słyszy się zastrzeżenie, że Stany Zjednoczone nie są są prawdziwą demokracją, ponieważ głoszenie doktryny darwinizmu jest w niektórych stanach prawnie zakazane. Tym samym zarzutem obciążano często Trzecią Republikę, ponieważ kościół katolicki miał w niej tylko ograniczone prawo rozszerzania i bronienia swej nauki. Wszystkie te zarzuty pływają z pewnego nieporozumienia. Wolność, bez której demokracja nie może istnieć, to wolność polityczna, a wolność polityczna oznacza wszystkie te warunki i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne, by prawo opozycji było prawem rzeczywistym, a suwerenność ludu nie podlegała ograniczeniom. Rzecz jasna, że w ten sposób pojęta wolność polityczna nie koniecznie musi iść w parze z wolnością myśli. W demokracjach o wysokiej kulturze wolność polityczna łączy się zawsze z szeroko pojętą wolnością myśli i wolnością wyznai, ale połączenie to nie jest warunkiem niezbędnym. Łatwo sobie wyobrazić demokrację, która najsumiennie szanuje prawa mniejszości do opozycji, a która jednocześnie nie pozwala na wystąpienie warunków i możliwości razom, które, które są konieczne



MARIA KUNCEWICZOWA

## ZMOWA NIEOBECNYCH

## ROZDZIAŁ I

P O W I E Ś Ć  
C Z Ę Ś Ć II \*)

„Zofio, długo bardzo nie mogłam tego listu napisać. Od Zielonych Świąt miesiące mijały, codziennie wieczór mówiłam sobie: jutro. A teraz już jesień. Kochana moja, to także objaw wojny: robi się jakąś ważną rzecz, a kiedy cel osiągnięty, nie ma sił krzyknąć „zwycięstwo!“ W twoim domu byliśmy na wiosnę. Dom stoi. Andrzej i Antonina pilnują. Lokator dba o ogród. W domu czysto, choć obrzydliwie. Ale jak ty wrócisz, znów będzie cudownie. Zapomnimy. Ja bez ustanku wierzę, że będzie można zapomnieć. Byłe niebo i ziemia zostały te same i trochę najdroższych ludzi. Mamusia, jak wiesz, umarła. Krzysztof żyje. Zofio, o to tylko ciebie wszystko trójce błagam, żebyś żyła. I niech wszyscy żyją, przez których w Polsce było pięknie i szczęśliwie. Jeżeli wy zginiecie, po czym my poznamy, że wczorajsze życie i jutrzejsze, to jedno; my, którzy to tylko możemy zrobić, żeby przetrwać. Co ty robisz? Gdzie jesteś? Gdzie Karolek? Mniej więcej wiem przecież w jakim kraju i że pracujecie. Ale to tak trudno wyobrazić sobie was tam o każdej godzinie, która jest inna, niż nasze tutaj godziny. Wiem, że i wam smutno, ale to inny smutek. Wiem, że i wy tęsknicie, ale pewnie nie do nas prawdziwych, tylko do jakichś dziwnych osób, które mają nasze imiona. A czy wy bardzo dziwni teraz jesteście? Jacy? Zofio miła, za wiele trzeba by wiedzieć i nie można. I wątpię, czy kiedykolwiek dowiesz się ty o nas, my o tobie, nawet jeżeli będziemy w Rudzinie siedzieli przed zachodem i paw Paweł będzie za nas gadał, tak głośno krzycząc ze swojego daszku do słońca o wszystkim, co minęło. Ale po co wiedzieć? Napisz tylko, że nas kochasz po dawnemu, jak my ciebie kochamy, i że będziemy razem na długo, a najlepiej na zawsze. Ściskam ciebie z całej duszy. Zuzia.“

Taki list przyszedł do jednego z dystryktów Londynu, ukryty w wielu kopertach, z których każda nosiła znaczek innego państwa, a ostatnia nie miała znaczką żadnego, tylko napis w rogu *par bonité*. Przyszedł zimą i leżał na biurku w pustym pokoju pensjonatowym, którego lokatorka rzadko wieczory spędzała u siebie.

Tymczasem o wiele dystryktów bliżej centrum brytyjskiej stolicy, w kiosku z kwiatami na prawym skrzydle sieni błyszczały storczyki i kamelie, w kiosku z prasą sprzedawano czasopisma amerykańskie, pełne tanków, tydek i gwiazdzistych sztandarów, a do sali jadalnej szło się przez ogromny hall, gdzie pito późną herbatę, ale także wczesny gin. Nigdzie chyba hotelu nie są tak dostępne dla przechodnia, jak w Londynie. Większość tych karawanserajów nie posiada — poza biurami — miejsc, strzeżonych przed intruzem, a ekskluzywne gospody, które afiszują posiłki i salony *only for residents*, również część lokalu wydają na pastwę ulicy. Więc i teraz, tutaj, o godzinie siódmej wieczorem w *lounge'u*, przy stolikach panie w długich sukniach, czytające, albo migające drutami w oczekiwaniu na uroczysty obiad domowy, siedziały obok jego gościów w makintoshach, jeszcze mokrych od deszczu, jegomościów ze wzrokiem, utkwionym w obrotowe drzwi, które niebawem miały ich znów wypchnąć na trotuar. Nie można było wiedzieć, czy osoby, powłóczystym krokiem przemierzające hall i z niechęcią spoglądające w lustra, kierując się do portiera po klucz od własnego apartamentu, czy do bawialni, gdzie stały mieszkaniace oczekuje ich wizyty, czy też po prostu do toalety, tym wygodniejszej od podziemnych, ulicznych toalet, że ogrzanej i pustej. „Mr. Michelin! — wykrzykiwał cienkim głosem chłopiec w libanii — Mr. Michelin proszony jest do telefonu.“ Ale właśnie Mr. Michelin nie było na tej sali, chociaż tak wielu kręciło się tam panów, czekających na ważny telefon.

Przed drzwiami jadalni stała ich znaczna gromada, ciemno ubranych, grzecznie uśmiechniętych, między nimi jeden najwyższy, ze srebrną bródką w klin, z wielkimi okrągłymi oczami, — jedyna rzecz okrągła w tej chudej postaci, wytrawionej, jak mężczyźni El Greca, przez wszystkie piekła wewnętrzne, ale już pogodnej, jak dusza zbawiona. Kilka kobiet tworzyły grupę osobną, *Maitre d'hotel* uderzył halabardą w podłogę, oznajmiając: *My lord, dinner is served*. Wtedy towarzystwo przesunęło się przez próg w kierunku stołów.

Szukali swoich miejsc. Niektóre plecy, schylone nad nakryciami, wydawały się znajome niektórym ludziom wchodzącym. Te same boday plecy schylały się nad stołami bankietowymi w Paryżu, w czasie *drôle de guerre*, te same — nad zielonymi sukniemi w różnych — niegdyś — genewskich czy haskich salach obrad, te same w Brukseli, Pradze, Budapeszcie, Lizbonie. Stolicę, gdzie dawniej ich nazwiska na biletach wizytowych widniały w otoczeniu kieliszków czy artykułów piśmiennych, różne wielkie i małe rynki polityki międzynarodowej zamknęły się dla świata i pogrążyły w oczekiwaniu śmierci lub cudownego zbawienia, jak te dzielnice, dotknięte epidemią, na którą uczeni lekarstwa nie znaleźli. Wiele stołów bankietowych spalono, wiele biurów dyplomatycznych obsiedli feldfeble, w innych spali rozgorączkowani żołnierze. Bywali sympozjonów światowych szukali teraz

swoich miejsc na wyspie. Na Atlantydzie, która z dna izolacjonizmu, — świetnie zakonserwowana, — wyłaniała się znowu na powierzchnię dziejów.

Ale między osobami, poszukującymi swoich miejsc, były też i takie, którym to zajęcie zdarzyło się po raz pierwszy w życiu. Bo ich miejsce nigdy dotąd kwestii nie podlegało. Ich nazwiskami nie żonglowały nigdy instytucje międzynarodowe, żadni prezesi nie wpisywali ich na listy zaproszonych, żadni sekretarze nie wyznaczali im sąsiadów czy ról. Miejsce tych ludzi było stałe i nikomu niewiadome, jak miejsce drzew w gęstym lesie. Np. ten komandor marynarki francuskiej. Jego miejsce zawsze było na okręcie. Miejsce okrętu było na morzu lub w porcie. Miejsce portu — w granicach imperium francuskiego, Francja — w granicach cywilizowanego świata, świat zaś był w granicach Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Komandor, wielce zażenowany, bładził od nakrycia do nakrycia, wreszcie siadł, nie czekając znaku, zdziwiony, że krzesło jego okazało się właśnie tam, między Chińczykiem a Albanką, jednak pełen ulgi, że dalej szukać nie trzeba. Np. ten gruby blondyn... On całe dotychczasowe życie spędził w jednym powiecie zachodniej Polski, nie świadom żadnych różnic poza różnicą między małym chłopem a bogatym dziedzicem. Żeby tę różnicę obserwować, nie trzeba było zmieniać miejsc. Więc ich nie zmieniał. Nikt także poza powiatem nie liczył na jego głos, nie potrzebował jego opinii, nikt nie żądał od niego jakichkolwiek podróży. Obecnie chodził od krzesła do krzesła, brał w rękę bilety z nazwiskami i podnosząc je do światła, pilnie czytał: „Minister taki a taki“, „Ambasador taki“, „Lord taki“, „Państwo takie, rząd taki“, „W Dziwnym mieście Dziwna ulica taka a taka...“ Czytał. Krew napływała mu do policzków, odkładał bilety z odrazą. Wreszcie sekretarz przybiegł mu na pomoc, powiewając własnym jego biletem. Blondyn szybko ogarnął wzrokiem napis na kartce: obok nazwiska widniało tam również słowo „minister“ i nazwa kraju była swojska. Ale nazwy powiatu nie było. Westchnął, ruszył za sekretarzem, wreszcie kurczowo uchwycił poręcz fotela, jak rozbitek w morzu chwytą zbawczy kłoc drzewa. Np. pani w perłach... W jej oczach malował się zawód. Los zrzadził, że miała szukać sobie miejsca na Atlantydzie, z pian morskich wyionionej do bytu wtórnej. Los zrzadził, że miała naamywać język do obcych wyrazów, słuchając cudzych myśli, wymyślając naprędce jakieś myśli własne, do niczego prawdziwego nie podobne. Dlaczego jej nowy mąż, należący do narodu, o którym dawniej nigdy nie słyszała, przywiózł ją tutaj do nowego świata, pełnego trudnych słów, skoro w nowym, jak i w starym świecie, mężczyźni pragną z kobietami milczeć?

Tymczasem wszyscy zasiedli. Lord ze srebrną bródką przydawał. Podano zupę.

Tu i ówdzie między obsadzonymi fotelami ziały luki, kogoś brakowało. Ktoś nie przybył. Te luki fascynowały uczestników obiadu i, — niosąc do ust pierwsze łki, — milczeli, myśląc o nieobecnych. Nazwiska kilku były znane, innych — tajemnicze. Dlaczego nie przyszli? Może uważali, że przyjeść nie było warto. Może oni jedni wiedzieli, co naprawdę jest ważne. Może właśnie teraz, kiedy biesiadnicy jedli zupę, nieobecni podpisywali jakiś papier, który obecnym przynieśie zagadkę. Może jednak obecni powinni byli raczej nie zjawiać się tutaj, lecz podążyć tam? Zerkali wrogo na puste fotele, zlekceważone przez ludzi stamtąd. Patrzyli na zupę, usiłując dociec, gdzie leży tam — strefa najważniejszych decyzji, strefa nieobecnych.

Wreszcie kruczowosy pan o twarzy szarpanej tickami, dziwny pan, który dwoił się w oczach, okazując w przeciągu sekundy dwa oblicza: jedno dzieciennie gładkie i marzące, drugie — zmięte, jak maska złoćcyńcy, ten pan podniósł się, kiwnął na służącego, po czym obiegł stół, jak wizja dwoistości wszelkich prawd. Puste fotele odstawiono... Ale po przez wyrwy, powstałe w ten sposób, nowokreowani sąsiedzi nie skłaniali się ku sobie, protestując jak gdyby przeciwko sąsiedztwu, które wynikało z nieobecności osób najważniejszych.

— Czy pan pierwszy raz w Anglii, odkąd wojna wybuchła? — spytało Amerykanina.

— Pierwszy, — przyznał niechętnie. — Ale przed wojną bywałem bardzo często, — dodał. — I tu, i na kontynencie. W Paryżu, w Pradze... Na Riwierze...

— Czy zastał pan wielkie zmiany?

— O tak, wielkie zmiany.

Nikt nie spytał, czy korzystne. Bo nikt nie wiedział, czy korzystne zmiany w Anglii uczeszyłyby Amerykanina. Nikt nie spytał, czy niepokojące. Bo któż mógł wiedzieć, który niepokój Ameryki zostanie podzielony przez Hitlera, a który przez Stalina.

— Zupa cebulowa, — ktoś stwierdził.

Spojrzano nań bystro, lecz bez zrozumienia.

— Zupa cebulowa... — powtórzyła sen-

nie kobieta w czarnym futerku.

— W Paryżu, pamiętam... o świecie, po

wesołej nocy...

— Tak, wiem: w halach jadło się taką zupę. Z kotła, — Amerykanin brutalnie przeciął wspomnienia.

— Nie, ale jakżeż nazywała się w Paryżu ta zupa? — Kobieta upierała się przy marzeniu.

Czech powiedział:

— Rok temu cebule w Wielkiej Brytanii były wprost nieosiągalne. Okręt handlowy, wiozący cebulę z Kanady, sygnalizował portom z odległości wielu mil: *onions, onions...* A dziś jada się cebulę na codzień. Doprawdy lord Woolton jest genialny.

Redaktor francuskiego pisma, który przed wojną był chirurgiem, ściągnął w fałdy swoją bladą twarz. Rozparł się w krzesle i odsadził od stołu, jak gdyby mierzył go zapach potraw.

— Lord Woolton jest genialny, — rzekł, — bo cebula i marchewka. Nelson był genialny, bo zraży Nelsonskie i Trafalgar. Ale ja jestem przeciw Nelsonowi i przeciw Wooltonowi.

— Za kim więc pan jest?

— Za Szekspirem! — krzyknął, rozjaśniając oczy, które stały się piękne. Z minoderią maturzysty, kokietującego bogate ciotki, spuścił rzesy, wygiął usta w podkowę. — Cóż to ma za znaczenie, za kim się jest teraz? Ważne jest nadal, za kim byliśmy dwadzieścia lat temu, — odwrócił głowę w stronę niewidzialnych nimf, biorąc je na świadków swojej samotności i bezzisły. — Ja np. jestem teraz za Szekspirem. Bo ja chcę Francji. I cóż z tego?

— Czy Szekspir chciał Francji?

Jakkolwiek Szekspir nazywał swoje posiadłości: Weronę, las Nocy Letniej, Królestwo Duńskie, Wzgórze Dunsinanu, dla mnie, kiedy czytam teraz, to wszystko jest Francja.

— Ale Szekspir chyba o tym nie wiedział, że pan Francję straci i będzie musiał jej szukać po lasach Tytanii? — spytała pani w futerku, bardzo zawstydzona.

— Istotnie, *Madame*, — redaktor mrugnął szelmowsko, — Szekspir chyba nie wiedział. A jednak przygotował dla mnie lasy Tytanii, żeby *un pauvre réfugié* miał gdzie ukleść sobie przenośną Francję na tej ludnej wyspie. Dlatego jestem za nim przeciw Nelsonowi i przeciw Wooltonowi.

Czech roześmiał się hałaśliwie.

— Rozumiem, mimo zrazów, niechęć pańską do Nelsona, ale obawiam się, że lasy Tytanii bez lorda Wooltona byłyby bardzo nieprzytulne dla *refugees* z kontynentu.

Oficer polski uroczyście chrząknął:

— W rzeczy samej winniśmy wdzięczność. Ten kraj jest gościnny i dobrze zorganizowany.

Francuz zatrzepotał dłońmi:

— Nie, nie! Nie będę wdzięczny Wooltonowi! Nie cierpię marchwi! Gdyby nie Szekspir, skonabym przy tych stołach bez wina, bez oliwy, bez brie.

Tak mówili do siebie, a siwa Anglika, w purpurowej *cape*, ona jedna niezrażona wyrwami po nieobecnych, przechylała się w obie strony ku ludziom, którzy ciągle jeszcze, od dzieleni przez dwie próżnie, nie uznawali się za jej sąsiadów.

— Czy pan zna Włochy? — pytała lotnika.

— Nie: moja eskadra lata, jak dotąd, nad Niemcy i nad Francję.

— Ach, nie myślę o nalotach...

Lekko ułożona, ale nadal pełna dobrych chęci, odwróciła się ku urzędnikowi pewnego emigranckiego Ministerstwa Informacji.

— Czy pan lubi Włochy?

— Ja? Dlaczego? — zamrużył z niepokojem, — dlaczego mam lubić Włochy? Mój naród jest wprawdzie katolicki, ale to, co się mówi w niektórych sferach, że narody katolickie opóźniają bieg wojny przez konszachty z Watykanem, — to absolutne kłamstwo.

— Ależ ja wcale tak nie mówię, — spełszyła się dama w czerwieni. — Ja nawet nigdy tego nie słyszałam. Ja lubię Włochy... *Io parlo italiano*. Moja siostra tam mieszka, moje dzieci się tam chowają, ach, jak lubię *Chianti*!

Lotnik i urzędnik nie zdawali się słyszeć. Udzieliwszy wyjaśnienia osobie z drugiego brzo-gu próżni, nie interesowali się już zwierzeniami, które przecie im się nie należały, tylko nieobecny. Nie wątpili zresztą, że osoba działała w porozumieniu z tymi, co zlekceważyli obiad, i że na ich rozkaz pytała o rzeczy drażliwe. Usilnie patrzyli przed siebie, ona zaś, jak istota potępiona, na darmo uśmiechała się i przemawiała po ludzku do diabłów, ludzkiego słowa nie rozumiejących.

Wreszcie podano deser i kawę... Lord ze srebrną bródką powstał, mistrz ceremonii, stuknąwszy halabardą w podłogę, obwieścił *speech* prezesa.

— Lordowie, ekscelencje, panie i panowie, — odezwała się ta postać z obrazów El Greca, — uważam inicjatywę zbierania się na obiady w tym alianckim gronie za myśl bardzo szczęśliwą. — Chrząknął, zawiesił głos, tocząc po biesiadnikach spojrzeniem oczu surowych, przed chwilą jeszcze ciepłych i łagodnych. Wszyscy nagle zaczęli zerkać po sali, wypatrując autorów myśli szczęśliwej. Nachylano się ku sobie, szeptało: „Któż to właściwie?“ „Oczywiście mówiono mi, ale wsku-

tek strasznych przejść straciłem pamięć“... Szept obiegał stoły, niektórzy skłaniali głowy, przyjmując gratulacje, inni uśmiechali się zagadkowo, ale głównych sprawców nie wykryto i miejsca po niezajętych fotelach wypełniły się grozą i zawiścią: widocznie nieobecni, zainspirowawszy kilku obecnych, woleli pozostać w murach Sanhedrynu.

— Uważam inicjatywę za dobrą, — ciągnął dalej prezes, — bo czas już najwyższy, by ludzie dobrej woli, złączeni wspólnym celem wojny, wyposażeni w kapitał wspólnych doświadczeń, władający językiem wspólnym kultury europejskiej, ustalili między sobą koncepcję powojennego świata: by zabrali się wreszcie do wypracowywania pokoju...

— *Hear, hear*, — stary sangwiniczny Szkot stuknął zgietym palcem w stół. Z różnych krańców sali nadbiegły stukania — brzmiało to tak, jak gdyby duchy na seansie, zaniepokojone, dawały znać o sobie. Ale co chcieli wyrazić? I kim były? Czy to może zgłaszały się Poincaré z ostrzeżeniem, Chamberlain ze skrucą, Paderewski z niedokończoną balladą? A może jakieś widma anonimowe, świeże, wylęte na polach afrykańskich, polinezyjskich, kaukaskich, wypełze z miazgi w roztrząskanych samolotach, wychnięte z płuc, które na dnie oceanów zostały... Może dusze zagazowanych Żydów, zaszczytuch Słowenów, obywateli, padłych z głodu i bezsenności za drutami różnójczyźnych igrów, campów i stalagów przypominają o swoim wkładzie w Królestwo Boże na ziemi? Ten i ów zerkał spode łba na puste miejsca, zajęte teraz przez upiory.

— Rzuciłem słowo „wypracować“, — mówił prezes, — i sam się przestraszyłem. Anglicy, jak państwu wiadomo, są leniwi. Nie potępiam za to moich rodaków, sam jestem bardzo leniwy, lubię, żeby czas i przestrzeń pracowały za mnie. Uwielbiam ciągłość wieków, uwielbiam Kanał, oceany, uwielbiam wszystko, co pracuje za Anglię. Ale wiem, że Bóg przestał naraz sprzyjać leniwym. Żąda od nas współpracy z żywiołami. Ze wszystkimi żywiołami, — uśmiechnął się ironicznie pod swoim własnym adresem, — to znaczy, z kontynentalnymi również. I z najsakrajniej lewicowymi również. A może nawet z H. G. Wellsem, z papieżem i z Mahatmą Gandhim. Bóg tego od nas wymaga i zapewne, jak zwykle, uszanujemy Jego wyrok. Ale nażóg jest rzeczą trudną do przewyższenia. Brytyjczy, wiecie to państwo, zwyciężają nie szybko i nie łatwo... Lordowie, Ekscelencje, panie i panowie, czuję się w obowiązku, a ponieważ i w prawie, wezwać znakomitych przedstawicieli naszych nieustraszonych alianów, aby zechcieli sami ująć swój przyszły los w swoje własne ręce. I to od zaraz. Natychmiast. Mówcie głośno nie tylko między sobą. Wymyślajcie nam nie tylko za czy i nie tylko z powodu pogody. Projektujcie, uzgadniajcie. Zawiązujcie federacje i związki. Intrygujcie nie tylko przeciw osobom, lecz i przeciw ideom. Wyjdźcie zza kulis. Stwarzajcie fakty dokonane. Fakty, fakty! Zie fakty są lepsze od pobożnych życzeń. Zie fakty pomnażają doświadczenie. Dobrymi chęciami piękło jest wybrukowane. Jednak chęci dobre mogą uzyskać się faktów, jeżeli apostołowie sformułują je jasno oraz dadzą im pokrycie we własnych sumieniach, nade wszystko zaś — w potencjalnych możliwościach tłum. Panowie i panie, w których dobre chęci, myśl jasną, rozum i sumienie mam niezachwianą wiarę; panie i panowie, nie zapominajcie ani przez chwilę, że z tłumy wyszłście i w tłum się obróćcie. Materialista powie: w tłum robactwa. Ja powiem: ufam, że będą to chory anielskie, nie zaś chór duchów straconych. Abyście jednak owe szczęście wieczne, polegające na harmonii jednostki z tłumem, osiągnąć mogli, — w pełni wyzyskujcie doczesność. Ćwiczcie się w pieśniach anielskich, gawędzac tu z bliźni. Oto moja nieoczekiwana prośba wyspiarza: przestańcie się izolować w komisjach, domach, sztabach, ministeriach, w dystryktach, epokach, sektach i narodach! Gadaćcie z przechodniami. Nasłuchujcie, co mówią współpasażerowie kolejek podziemnych, co dzieci, co chorzy przez sen i co, słowami urojonych bohaterów, dawno zmarli pisarze. Pamiętajcie, że wszystko mówione jest do was. Do was! To wy, to każdy z was dźwiga świat na swoich barkach, to każdego z was proszą o pomoc, wzywają do rady, to wam zlecają różne misje obecne i dawne pokolenia, i te, które przyjdą później. Poczuwajcie się do bytu! Poczuwajcie się do bytu! Poczuwajcie się do wspólnoty wszystkich ze wszystkimi! Każda chwila jest ostatnia. Każda jest pierwsza. Jeśli zaraz, natychmiast nie chwycicie losów świata w swoje ręce, padniecie ofiarą zmywu nieobecnych.

Dreszcz poszedł po zgromadzeniu. Wszystkie oczy, jak na komendę, zwróciły się ku pustym miejscom.

— Słyszał pan? On także zauważył. X-a nie ma, Y-ka nie ma, Z-et-a przysłali dla niepoznaki. Stary wie, co mówi! Mafia. Ach, panie, cóż tu gadać o jakiejś demokracji...

— Ciekaw jestem, co oni znowu knują? Podobno Willkie bawi w Londynie *incognito*. — Poseł brytyjski w Ankarze odwołany. — Churchill polecił do Afryki, Eden go zastępuje, dlatego X nie przyszedł, że Eden bez niego ani rusz.

— X po prostu umarł. Nie czytał pan w gazecie?

\*) Por. nr. 42 i 43.



— Ale nie ten, panie, nie ten, syn tamtego. Niedobre rzeczy są w powietrzu.

El Greco'wski pan z bródką patrzył przytomnie po londyńskiej sali. Ale w jego wielkich, okrągłych oczach tliło się jeszcze złoto, jarzył się odbłask tej dawnej tolekańskiej goziny, kiedy obecny *chairman* był — ponoć — hrabią Orgazem, niepogrzebanym i żywym małżonkiem pięknej dziewczyny w szalu koronkowym. Urodził się wprawdzie synem walijskiego pastora za ostatnich lat Wiktorii i nigdy do Hiszpanii w licznych swoich wędrówkach nie złożył. Jednak o jego typie starokastyjskim mówiono mu tyle przez wszystkie lata życia, że wreszcie sam uznał za konieczność reprezentowanie po świecie — oprócz własnego losu — także i epoki minionej dawno w kraju obcym. Stał teraz na miejscu przyznanym w londyńskim ogromnym hotelu, zamienionym na wieżę Babel narodów, walczących z Hitlerem, stał i wzywał, żeby alianci poczuli się do istnienia. Wzywał w charakterze współczesnego Brytyjczyka. Ale jego szybki, zdyszany rytm nie był brytyjski, nie były brytyjskie ani mistyczne glossy na marginesie wskazań politycznych, ani osobiste, agresywne tony w każdym prawie zdaniu. I zmysłowa czułość, z jaką patrzył na ludzi i przedmioty, nie była czułością walijską. Nie to wszakże było dziwne. Dziwne było, że i ten rytm, i ten blask, i ten żar nie zdawały się płynąć z serca, tylko z mózgu. Z jakiejś komory mózgowej, wibrującej rozkazami zza świata. Pod przymusem tych to bodaj rozkazów angielski lord z bródką, wypowiadając w r. 1943 aktualną mowę polityczną, nałamywał głos i spojrzenie do natury dawno w proch nieznajomy obróconego hrabiego Orgaza.

Szepty wśród zebranych nie ustawały.

— *Qu'est-ce que c'est que ce chant de cygne?* — skrzywił się redaktor. — Od kiedy to *de vieilles poires britanniques* udają hiszpańskie łabędzie?

— Nie, to Cyd. To taki Cyd gabinetowy, osiadał na kongresach, w którego wstąpił nagle duch Eklezjasty. Bo duch czasu zdymisjonował już to stare cielsko.

— Czemuż ono tak krzaczę? O co mu idzie? Jaki los, w jakie ręce? Z dziećmi gadać? Z chorymi, z umarlami? Świetne rady dla ministrów i dla generałów.

— Uważałeś? Złe fakty lepsze mają być niż dobre chęci. Do czego to było pite? Do Crippsa'a, do Darlana?

— On jest tubą *Foreign Office'u*. To bardzo charakterystyczne, co powiedział o Indiach i o Watykanie.

— Wellsa przytoczył, żeby zmylił ślady. O tej znowie rzecz nie bez kozery, warto zapamiętać, kogo dziś nie było.

Prezes pochylił się i kończył mowę niemal szepcąc, poufnie, jak spiskowicę:

— Panie i panowie, znowa nieobecnych jest najgroźniejszą znową tego świata... Zawieszę to stwierdzeniem: gdziekolwiek obecni układali decyzje na potem, gdziekolwiek zrzekali się odpowiedzialności, gdzie byli obecni ale nieprzytomni, — tam nieobecni skazywali ich na rychłą lub powolną śmierć. Nieraz w kołach emigranckich słyszę: „My tym zając się nie możemy, to jest sprawa Kraju“. Wiele moich rodaków z uznaniem skłania głowy. Bo oni także lubią oglądać się na Amerykę, na Sowjety, na Nową Zelandię czy na Chinę. Francuzi liczą na Joannę d'Arc, na Descartes'a, Marata, na feniksa z popiołów, Hiszpanie — na Pétain'a, Czesi — na Stalina, Holendrzy — na murzynów. Niekiedy mężowie stanu krążą jak meteory od stolicy do stolicy, pytając o zdanie innych mężów stanu. Ale kompletu osób miarodajnych nigdy osiągnąć nie zdołają. W Waszyngtonie jest Roosevelt, nie ma tam Churchill'a, w Moskwie obecny jest Stalin, nieobecny — Roosevelt. W Londynie zaś nieobecny to cała bezsilna ludność kontynentu. Wszyscy oni myślą coś, czego my nie wiemy, czują, czego my nie czujemy, i wabią nas, wabią w swoje siłki... Nie dajmy się zwabić! Jeśli bowiem odrzucimy ciężar obecności, sami przemienimy się w nieobecnych, przemienimy się w cienie. Lordowie, Eksceleńcje, panie i panowie, pozwólcie, że przypomnę: i Bóg, i Szatan obecni są wszędzie.

*Chairman* skłonił się, siadł, chwilę było cicho, wreszcie plusnęły rzadkie oklaski ludzi nadających.

Poklaskali trochę i opuścili ręce. Milczeli. Cóż można było powiedzieć o mowie bankietowej, zakończona ewokacją Boga i Szatana? Można było tylko uśmiechnąć się albo dyskretnie ziewnąć. Albo jeszcze: wstać, odejść szybko i zacząć nowe życie. Uśmiechano się. Ziewano. Nikt nie wyszedł.

## ROZDZIAŁ II

W hallu, oparta o ścianę, stała tablica na kiju, którą liberyjny chłopiec, wzywając do telefonu, obnosił zwykle pośród gości hotelowych. Mr. Michelin, — widniała tam jeszcze napisana kredą nazwisko.

— Nie zgłosił się, — westchnęła kobieta w futerku, kiedy po wysłuchaniu wielu mów opuściła wreszcie salę bankietową. — Nie było go tu, choć najwyraźniej tu właśnie kazał siebie szukać. Nie było go. Gdzież więc był Mr. Michelin, dzisiejszego wieczora?

Za obrotowymi drzwiami hotelu stała się nieprzenikniona ciemność. Ktoś spytał: „*Taxi, Madam?*“ Kobieta w czarnym futerku nie chciała *taxi*. Chciała sama, bezpośrednio, nie osłonięta żadnymi ścianami, zanurzyć się w noc. Obcasy głośno stuknęły o chodnik i galezie szumiały w parku: „Poczuwajcie się do bytu! Poczuwajcie się do istnienia!“ Kobieta mimo futerka drżała. Istnieć, ale gdzie? Istnieć, ale dla kogo? Szła po Londynie, po ulicy *Park Lane*... Tak, chyba to na pewno ona szła po ulicy *Park Lane* w Londynie. Ale te galezie, które szumiały, jakie to były galezie? W ciemności nie widziała nic, słyszała tylko.

A ten szum, to był szum Łazienek. Więc gdzież ona go w końcu słuchała, — na *Park Lane*, czy może jednak w Alejach! I do kogo szła? „*Excuse me*, — zatrzymała się przy policjancie, — jaki to jest park, tu obok?“ Zwalista postać milczała, wreszcie gdzieś z wysoka padły pełne godności słowa: „*This is Hyde Park, Madam*“.

Kobieta szła dalej, minawszy stację kolejki podziemnej. Oświetlona elektrycznością, otoczona współpasażerami, musiała „poczuć się do bytu“. Musiała by nasłuchiwać, „co mówią obecne i dawne pokolenia“, musiała by „dźwigać świat na swoich barkach“. Nie chciała. Nie chciała tego, odkać mogła uczucia swoje zapamiętać. Pierwszy raz zrozumiała, że nie chce, na pewnym przyjęciu u mało znanych ludzi. Przy kolacji nie wiedziała, kto są jej sąsiedzi. Mówiło się o ostatnich premierach, o sezonie w Zakopanym, o potrawach. Później nastąpiły tańce. Jak zwykle, męczyła ją strasznie każda nieprzetańczona minuta. Ilekroć znalazła się na krześle pod ścianą i nikt nie podążał ku niej, popadała w panikę. Kiedy otoczyło ją ramię tancerza, panika przeradzała się w gorliwą chęć podzielenia rytmu tego drugiego ciała. To nie zawsze przychodziło z łatwością. Niekiedy ciała męskie posiadały rytm tak silny albo tak niespodziewany, że zadaniem tancerki stawało się całkowite samounicestwienie. Inne znów nie miały żadnej osobistej pulsacji, zdawały się oczekiwać od kobiety, że podyktuje im ruchy, że narzuci im krok własnego serca. Tylko czasami się zdarzało, że muzyka dla obu partnerów była jednoznaczna i że taniec tańczył się sam, bez udziału czyjejkolwiek woli. Tak mijała noc bezosobista, pracowita, przerywana tymi krótkimi chwilami bogości, kiedy rytm dwojga nieznajomych okazywał się wspólny.

Szok nastąpił nad ranem. Przy jakiejś figurze tanecznej znalazła się w grupie gości, których dotąd nie zauważyła. Jakiś człowiek przytrzymał ją za rękę. Zachęcał się, bo pauza wywoływała zamieszanie, pauzy wtenczas nie powinno być. Obecny nie puszczał ręki. Patrzył prosto w oczy. Powiedział: „Dokąd tak, dokąd? Zatrzymać się, oho!“ Zamrugła, jak przez sen. „Czy pan do mnie mówi?“ — spytała. „A tak tak, do pani, — odpowiedział z naciskiem. — Pani taka skąpiona, taka nieobecna...“ I właśnie wtedy muzyka przestała grać, pary rozprzęgiły się. Zdała sobie sprawę, że stoi pod żyrandolem, w bardzo ostrym świetle. I że istnieje. Że ma rozdział z lewej strony głowy, suknię z lamy, piersi za małe (prawa większa), policzki gorące i dech zaparty ze zdumienia. Obecny wziął ją pod ramię i odprowadził do kanapki w samych drzwiach balkonu. Usiadł obok. Na dworze robiło się szaro, stróż polewał ulicę, gdzieś skrzykiwały koka.

— Czy nie za chłodno? — spytał. — Ale pani chyba nie jest skłonna do zaziębienia? Pani jest silna, zdrowa. — Patrzył z bliska, w świetle teraz podwójnym i iamiącym, na kobietę, jeszcze bezsilną z nocy, a już przestraszoną dniem. Nie projektował pewnie niczego ważnego, pragnął tylko tego światła we dwoje z kimś młodym i nie przebudzonym, kogo nie on będzie musiał budzić. Ale ów ktoś najnie spodziewanie obudził się sam. Kobieta dotknęła czoła i odsunęła się... W jej wzroku błysnęła ostra świadomość, podobnie jak bywa u cnorych po malignie. „Muszę iść, — powiedziała, — muszę odsukać męża“. Wstała. Obecny chwycił ją za obie dłonie. Teraz, kiedy, przebudziwszy się, miała zniknąć, wydała mu się kimś niezmiernie ważnym. „Niech pani zostanie. Przecież ja nie o pani nie wiem! Proszę coś mówić do mnie. O sobie. O sobie“. Odeszła. Gniew ją niósł. Gniew i strach. Ten obecny wytwór jak rybę z nurtu, drgającego tajemniczymi prądami, i wyrzucił bezbronną na brzeg. Zapytał: dokąd? Powiedział: pani jest. Potem trzymał za rękę w tym silnym świetle wstającego dnia i patrzył. I prosił o słowa, które byby trudniejsze od śmierci: o sobie.

Tamtego pobalowego rana kobieta w futerku zdała sobie naraz sprawę, dlaczego takie właśnie dwie sceny z pierwszych lat dzieciństwa nosiła zawsze w sercu jako sceny straszne:

Jedna sięgała czasu najwcześniejszego, prawie nierzeczywistego.

Działa się w wielkim, ciemnym pokoju, nocą. Ona, która wówczas bardzo niewiele jeszcze umiała wyrażać szowami, krzyczała w niebogały. Stała w swoim dzieciennym łóżeczku, odpychając płomień świecy i dwoje obcych oczu. Jej obie ręce zostały pochwycone przez tę samą wielką dłoń, której ucisk czuła jeszcze na piersiach i na brzuchu, świeca przybliżyła się tuż do twarzy, w gardło wsunął się twardy przedmiot, a nieznajome oczy zawisły tuż nad jej ustami, patrząc poprzez nie gdzieś do wnętrza. Pamiętała doskonale szaleństwo buntu, zawarte w swoich krzykach.

Kiedyś, już jako dorastająca dziewczyna, spytała matki, kim był człowiek, który pierwszy zaglądał jej do gardła. Matka wzruszyła ramionami: „Oczywiście, doktor. Ach, pamiętam... W nocy go sprowadzono. Miałas dyteryt. Czy tak cię bardzo bolało?“ — „Nie pamiętam bólu, — odpowiedziała. — Pamiętam, jak strasznie się bałam, że on coś we mnie zobaczy. Ale co zobaczy? I dlaczego się bałam? Nie wiem“.

Druga scena: Boże Narodzenie i cisza w domu. Rodzice, zmęczeni świętecznym obojdem, zaszyli gdzieś w głębi mieszkania w łóżkach czy w fotelach. Służba na wychodnym. Drzewko w cieple pachnie i trzaska. Czasem na któreś gałęzie koszyczkę albo kulka tęcza, zawieszona na jedwabnych pętach, czynią — byszcząc — ruch wirowy dokoła swoich osi. Na dywanie pod choinką rozłożona książka. Kobieta w futerku, która wówczas nie umiała jeszcze czytać, oglądała obrazki.

W miarę jak posuwała się oglądanie, cisza domu stawała się głębsza, zapach bardziej przejmujący, wiry gwiazd i kul coraz szybsze. Wreszcie książka została zamknięta, kobieta wycięła spod gałęzi i siadła na dywanie opodal, ogarniając ramionami kolana. Ciemnowo już było, meble zrobiły się ogromne, podeszły blisko, stanęły w krag, jak milczące zwierzęta, zegar zaczął mówić głośno i bardzo szybko po francusku, asparagus odpowiadał po wodomu, — szmerząco. Wtem coś pstryknęło głośnie, niż piorun uderza: przeraźliwy blask lampy upadł na pokój, kobieta zerwała się na równe nogi i w lustrze naprzeciwko zobaczyła siebie: haftowany, batystowy fartuszek, otwarte usta rozszerzone oczy. Pamiętała zawsze, jak zawołała wtedy: „Nie, nie, to nie ja!“ — zarzuciła fartuszek na głowę i stała bez ruchu, ślepa, drżąca, póki ojciec się nie uprowadził jej sprzed lustra.

Ileż to lat dzieciństwa i młodości było trzeba, żeby o świecie na balu zrozumieć, — dlatego że ktoś obcy wziął za rękę i patrzył, — nareszcie zrozumieć swój wielki strach przed — istnieniem...

Bo czymże były owe niemowlęce krzyki w obliczu doktora i czym było w zaraniu lat wyparcie się siebie przed lustrem, jak nie protestem przeciw istnieniu w świetle cudzych oczu i lamp, a nawet słońca, w świetle tak brutalnie zwanej „rzeczywistości“?

„Jeśli odrzucimy ciężar bytu, przemienimy się w nieobecnych, przemienimy się w cienie“...

Ależ ty sam, lordzie z bródką, jesteś cieniem mitycznego hrabiego Orgaza! — zaśmiała się — i żołnierz amerykański przystanął na chodniku. „*Hullo, sister*, — rzekł, — *what's funny?*“ Przyspieszyła kroku. Śmiech ją rozpiekał. — Otoż i znowu odrzucam ciężar tak brutalnie zwanej „obecności“, — myślała, — obecności na londyńskim chodniku w charakterze siostry żołnierza.

Skręciła w przecznice. Tam nie słychać już było szumu łazienkowych gałęzi. Za to bezszelstny kot przebiegł jezdnią i wpadł pod nogi, czyniąc z tej ulicy ulicę niewątpliwie warszawską. — Do kogo ja idę, do kogo idę? — powtarzała w duchu, — przecież jego tu nie ma, przecież on nie wiadomo, gdzie jest...

Pchnęła frontowe drzwi, szybko i cicho przebiegła korytarz, zastukała...

Drzwi od mieszkania ustąpiły niemal natychmiast, kobieta znalazła się w uścisku. Po chwili mężczyzna rzekł: „Przepraszam cię. Światła nie mogę zapalić, bo mój *black-out* zepsuty“. Posuwając się w ciemności, przeniknęli z przedpokoju do wnętrza. Ramię gospodarza otaczało ją. Uderzyli gołeniami o coś, co podcięło równowagę i upadli na tapczan. Powoli ustąpiły przeszkody, — futro, rękawiczki, suknia, — ciepło drugiego ciała stało się wyraźne: kobieta, której kazano istnieć, scenroniła się przed istnieniem w płynny, senny żywioł, tętniący cielesnymi rytмами. Sporo czasu minęło, zanim spytała półgłosem: „Gdzie jesteśmy? Czy ty może jesteś Michelin? Powiedz!“

W salonie jeszcze paliło się światło, kiedy kobieta w czarnym futerku wróciła do swego pensjonatu w na pół wiejskiej londyńskiej dzielnicy.

Wszedłszy do hallu, zajrzała przez oszklone drzwi do *sitting room'u*. Mrs. J. siedziała w okularach pod lampą z abażurem. Blask tak silnie naswietlał jej siwą głowę, że widać było różową skórę czaszki. Jak zwykle, udawała, że czyta „lekką“ powieść, toczącą się po trawnikach golfowych i po dywanach wiktorianskiej *country-side*, kraju jej młodości. Pod tą jednak powieścią, pełną dzieciennego humoru i zapachu doskonałej herbaty, toczył się temat inny, niepisany, toczył się nurtem zwozowim, ku któremu Mrs. J. uważnie skłaniała ucho, by poprzez stronicę książki usłyszeć i zrozumieć głos Indii. Córka jej wprost z weselnego przyjęcia w takim właśnie powieściowym domu rodzicielskim z muslinowymi firankami i z okrągłymi lustrami w brązach, umieszczonymi zbyt wysoko, by pobudzać kokieteryję, odjechała kiedyś z młodym mężem do Indii, zostawiając tort, ledwie napoczęty, pastora, jeszcze błagado po natchnieniach kościelnej oracji, bukiety w pełni świeżości, przyjacieli rozbawionych i matkę, na pół tylko świadomą, że Indie są dalej niż Bath. Ta córka, tak nagle (mimo drugiego małżeństwa) porwana do tropikalnego świata, już nigdy nie zechciała powrócić. Zyla tam lata w niepojętych upałach, miała dwoje jasnowłosych dzieci, napastowanych przez owady, zapadła na niewyjaśnioną chorobę, była przez męża zdradzana i nie chciała powrócić. Mrs. J. odwiedzała ją kilkakrotnie. Po cienistym, parnym domu, pełnym chwiejnych blasków i kadzidlanych zapachów, Jane, — coraz chudsza, z twarzą coraz ciemniejszą pod wypłowiałym warkoczem, — chodziła bardzo roztargniona, nasłuchując czyichś kroków podstępnych czy też głosów. Kiedy umarła, mąż nie zgodził się przywieźć ciała na cmentarz koło schludnego kościoła, z którego ją kiedyś zabrał żywą. Została na zawsze w tajemniczej ziemi, dobrej dla storczyków i filodendronów.

Koło radia tkwił *Captain Mac*, przydzielony do biur wojskowych w stolicy. Nie umiał chodzić spać wcześniej; od niepamiętnych czasów zwykł był wieczorami budować łódzie w Szkocji. Jako dziecko klecił czołną z tektury albo w kawałkach kory drążył wywrotne kajaki. Podczas studiów inżynierskich, odbiorczy dzienną porcję kreślenia, zabierał się co wieczór do strugania i klejenia miniaturowych jachetki. Po zdobyciu dyplomu elektrotechnika mógł sobie pozwalać na coraz kosztowniejszy materiał do wyrobu swoich poetycznych żaglowców. Jeden z nich, imie-

nem *Triton*, podbił serce buchalterki, kiedy z nagłym interesem firmowym przyszła do kolegi w godzinach prywatności. Pobrali się. Wkrótce okręt siostrzany *Tritona* opuścił doki pełnego śmiecia *sitting room'u*, ochrzczony *Siren* na cześć owocnej współpracy. Kiedy zjawił się mały Jim, fabrykacja łódek nabrała podwójnego sensu: obok fregat ozdobnych, poświęconych wyłącznie marzeniu, Mac zaczął produkować solidne masztowce na przyszły użytek syna, kiedy ten, z długą żerdką w rękę, zajmie swoje miejsce w kręgu dzieciennym nad stawem. W tym stadium działalności Maca zaskoczyła wojna. Jako inżynier i oficer rezerwy został delegowany do fabryk sprzętu lotniczego. Przeważały się wagi i pory. Przepadł wieczór, dusza każdej doby, wypełniony budowaniem przedmiotów, służących do życia na niby. Dzień, który Mac zawsze dotąd wstydliwie przemlewał, choć wypełniał go sprytem i energią, wyjąskował się, zagarnął wszystkie godziny. Wypędzono Maca z imaginacyjnych doków przed kominkiem, kazano czas wieczorny spędzać jeśli nie w biurze, to po messach oficerskich i barach. Później nastąpiła translokata do Londynu. Syrena, buchalterka, Jim, przyszły żeglarz, zapadli w przeszłość. Mac osiedlił się na przedmieściu i każdy wolny wieczór spędzał samotnie w wielkim, prawie pustym salonie, kręcąc gałki radia. Co chciał usłyszeć? Słowo Pitlochry, czy łopot żagielków swojej niepotrzebnej floty?

We wnęce pod oknem, zasłonięty gazeta, czaił się otyły *Herr P.*, gasnący gwiazdor Republiki Weimarskiej. Niegdyś dyktator kulis berlińskich, zarówno teatralnych, jak politycznych i prasowych, doradca reżyserów, sufler ministrów, krytyk uniwersalny, kibic wszechobecny, potęgę swoją zawdzięczał maestrii języka, który przejął od Heinego, jak puchar przechodni, napelniony ironią i czułością. Odlał czułość, na jej miejsce nasaczył powersalskich jeremiad, nietzscheańskiego *Rauschu* i germańskiej kłikłości; ironię zaprawił demonizmem. Tym alkoholem upajał przez wiele lat wyższe sto tysięcy kraju *der uralten Kulturträgerin*. W miarę, jak w kotle czarownic nad Sprewą wywarzały się po kleśce coraz inne jej wersje, coraz inne style odwetu i wzniosłości narodu niemieckiego, *Herr P.* w swoich artykułach zmieniał z wirtuozerią żonglera slogany, cytaty, przymiotniki. Dzięki temu pozostał jeszcze muza kół oficjalnych w czasie, kiedy wielu mniej obrotowych wieszczków krwawiło już pod kołami hitlerowskiej kwadrygi. Pewnego dnia wskazuje wirtuozeria obróciła się przeciwko niemu. Zazdrośni wywołili z jego publicystyki podejrzaną sprzecznność, zagraniczne wpływy, masonskie aluzje. Ostatni wielbiciel ostrzegł pana P. przed zakusami Gestapo. Szczęśliwy, że do starości nie uległ pokusie małżeństwa, *Herr P.*, spakowawszy kilka malowniczych kamizelek, kosztownych *souvenirów*, intymnych fotografii, ukrywając dolary pod podłogą Chryslera, opuścił ojczyznę Heinego. We Francji popasał niedługo, gdyż wieść o niełasce poprzedziła go w kołach *Amitié Franco-Allemande*. Osiadł więc w Londynie, gdzie czar Heidelberga, Weimaru i Poczdamu nigdy nie ustaje. Przed wojną wiodło mu się dobrze przy pomocy profesorów i *ladies* z tytułami. Od czasu wojny sytuacja straciła blask, ale żyć miał z czego. Czym wskazuje były te nieskończonej długości prowincjonalne wieczory londyńskie w porównaniu z nocną gorączką Berlina? Jedyne, co z minionej chwały zostało panu P., to świadomość, że język speakerów Trzeciej Rzeszy zachował pełno śladów jego błyskotliwego *Unter den Linden* pobytu. Tak; młodzi Niemcy, dla których *Herr P.* był synonimem hańby, używali nadal metafor, hyperboli, okrzyków i barbarzyństw, które on rozsiał po niemieckich kawiarniach, którymi naszpikował roczniki pism Frankfurtu i Berlina. Komunikat B.B.C., głoszący polityczne zwycięstwo nad jego wrogami, nie mógł pocieszyć pana P. Czyhał na tę chwilę, kiedy pozostawczy ostatni w salonie, będzie mógł łapać *Deutschlandsender Berlin*. Na to, aby godził się żyć, trzeba mu było autentycznych głosów s t a m t a d : głosów, które powtarzały na nową melodię teksty stare, wyrwane z zapomnianych kontekstów, przez niego kiedyś rzucanych na wiatry epoki.

Koło kominka, wygasłego już o tej porze, jak dwa nastraszone ptaki na przegrodnej gałęzi siedzieli na brzeżku kanapy państwo Z. z Warszawy. W tym piątym roku wojny poczuć tymczasowości mieli ciągle tak wielkie, że nigdy nie było im warto zagłębić się w fotele. Jeżeli ktoś znajomy czytał książkę, zaraz pytali: „Czy to o Polsce?“ — i dziwili się, że tyle jest książek, które nie o Polsce nie piszą. Komunikaty wojenne nie obchodziły ich. Od kiedy opuścili kraj, rzeczywistość wymknęła się prawom logiki, zwątpili o sensie wszechrzeczy, zdani całkowicie na wroźby i przecucia. Nie przeszkadzało to panu Z. być dobrym urzędnikiem, a jej — rozsądną matką. Bo kalendarz z odnotowaną na czerwono datą najbliższej konferencji biurowej, a także troski o córkę, zyskiwały na ważności w porównaniu z irracjonalnym chaosem świata. Bez słów umówili się, że wojny nie będą zauważali, nie będą zatem również starali się rozumieć, co mówią i czym żyją cudzoziemcy. Wystarczyło, że on w kieszeni, ona w torebce nosili małe słowniczki, gdzie sytuacje w autobusach i sklepach zostały przewidziane. Polska, zamieniona w wielomilionową rodzinę upiorów, krzycząca do Boga językiem, którego nikt na ziemi ani w niebie nie zdawał się rozumieć, była im obca nie mniej, niż zagranica. Zostawili tam, owszem, rodzinę. Kilka kartek zostało wymienionych w okresie, kiedy granice państw neutralnych nie były jeszcze tak szczelne. Wynikało z tej korespondencji, że tamci ludzie żyją nadal, chociaż mieszkanie państwa Z., a w nim srebrny lis,

(Dokończenie na str. 10-ej)



# POLONICA W KSIĄŻKACH ANGIELSKICH

## Eskapada „Orla” — Dwaj sierżanci

Hazards of War. By Stanley Rogers. With fifteen illustrations in halftone. London, George Harrap, 1944. Str. 238 i tab. 8.

Stanley Rogers opisuje w swej książce kilkanaście heroicznych dokonań z obecnej wojny, które świadczą o niezwykłym męstwie i wytrwałości biorących w nich udział żołnierzy, lotników i marynarzy.

Osobny rozdział p. t. *Running the Cauntlet* poświęcił autor epopei „Orla”, słynnej ucieczki z Tallina do Szkocji. Dzieje jej znane są każdemu Polakowi, relacja Rogersa przynosi kilka mniej znanych szczegółów. Okręt podwodny „Orzeł”, tej samej klasy co „Sep”, wybudowano ze składki Polskiej Ligi Morskiej w r. 1939 we Vlissingen. Załoga jego liczyła 56 ludzi. Uzbrojony był w 3 i 1/4 calowe działo pokładowe, w dwa 40-milimetrowe działka przeciwlotnicze, w osiem 21-calowych wyrzutni torpedowych. Dowódcą „Orla” w chwili wybuchu wojny był komandor Kłoczowski, ale wskutek choroby pozostawiono go w Tallinie. W zastępstwie jego dowództwo objął komandor Grudziński, przy czynnej współpracy podporucznika Piaseckiego. Autor podkreśla niełojalność władz estońskich, które popełniły grube nadużycia, próbując — wbrew postanowieniom prawa międzynarodowego — internować „Orla”. Naprzód kazano „Orłowi” przez 24 godziny czekać na odejście frachtowca niemieckiego „Thalappa”, potem zawiadomiono dowódcę, że ponieważ „Orzeł” dłużej niż 24 godziny przebywał w neutralnym porcie, musi zostać internowany. Z przewrotnością Estończyków kontrastuje szlachetny stosunek Polaków do dwóch zatrzymanych w czasie ucieczki z Tallina wartowników estońskich, których o półtora mil od wyspy szwedzkiej Gotland wsadzono do jedynej łodzi „Orla”, zaopatrzonej w żywność i pieniądze (nie zapominając o butelce whisky) i pozwolono odpłynąć. Grudziński wręczył im list do admirała estońskiego, stwierdzający, że wartownicy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za to, co się stało. Rzeczą znamionną jest, że wyrazili oni chęć pozostania na „Orle” w obawie przed karą, jaka ich czeka w Tallinie, ale Grudziński odpowiedział z pewną ironią, że w każdym razie będą bezpieczniejsi na łodzi niż na „Orle”, który ma małe szanse

przedostania się do Anglii. Radiostacja „Orla” powiadomiła jednocześnie rodzinę więźniów, że znajdują się oni w Szwecji.

Najdotkliwiej dawał się odczuwać brak map, które skonfiskowały władze estońskie. Wprawdzie Grudziński pod pozorem łowienia ryb dokonał pewnych pomiarów w porcie talińskim, ale dalsza droga w labiryncie Bałtyku była najeżona niebezpieczeństwami. Przez pewien czas liczono się z możliwością otrzymania map od „Rysia”, który, ciężko uszkodzony, zmierzał do Szwecji, ale potem i ta nadzieja zawiodła. Całą drogę do Anglii odbyto na oślep. Pierwszy apel „Orla” z morza Bałtyckiego potraktowano w Anglii jako trick niemiecki, ale na wszelki wypadek wysłano kontrtorpedowca „Valorous”; gdy „Valorous” odnalazł „Orla”, Grudziński zażądał przede wszystkim pomocy lekarskiej dla kucharza okrętowego, oraz wody, pożywienia i papierosów dla załogi.

Później „Orzeł” zatopił transportowiec niemiecki „Rio de Janeiro” oraz wziął udział w zatopieniu cysternowców „Posejdon” i „Kreta”. Nie powrócił z patrolu w czerwcu 1940 r.

Sierżanci Bartek i Kaczmarek, Polacy amerykańscy, należeli do załogi latającej fortecy, która w październiku r. 1942 wystartowała w Honolulu na Australię, wioząc słynnego pilota, kpt. Edwarda Rickenbackera, na inspekcję placówek lotnictwa amerykańskiego na oceanie Spokojnym. Samolot zbłądził i musiał lądować na morzu. Załoga spędziła 21 dni na tratwach gumowych, zanim dostrzegł ją patrolujący samolot. Bartek i Kaczmarek byli bez butów, bez okrycia głowy, przy czym Bartek wyszedł z przymusowego lądowania z ciężką raną na rękę. Szczególnie dokuczalo rozbitkom słońce, wywołując porażenie skóry na głowie i twarzy. Kaczmarek pogarszał swój stan przez picie wody morskiej. Rickenbacker otaczał go najczulszą opieką, ale Kaczmarek, — który choć niedawno opuścił szpital, z wytrwałością znosił cierpienia, — umarł na dziesiąty dzień. Również i Bartek zmarł w stanie zupełnego wyczerpania i gdyby nie nieoczekiwany ratunek, nie wytrzymałby zapewne trudów dalszego błądzenia po oceanie.

## ZMOWA NIEOBECNYCH

(Dokończenie ze str. 9-iej)

przestały istnieć. Państwo Z. zażenowali się i posmutnieli. „I cóż my wam możemy pomóc?” — oświadczyli w myślach pod adresem znikłych ścian i niezniszczalnych krewnych. W pokoju na kominku mieli fotografię własną w pozycji narzeczeńskiej i córki, kiedy była „dzidziusiem”. Na toalecie — flakon z wyprawnej neseseru, babcią poduszczonej na szpilki, murzynka na gumce, wczesnego pani Z. przez fordansera w Bristolu, dwa zdjęcia Łazienek i jedno kamienicy Baryczków. Pan Z. rano, pani Z. wieczorem, wzdychali najpierw przed tym ołtarzykiem, zanim obrócili się w stronę Częstochowskiej. Pan Z. pracował w tym samym co przed wojną resorcie, pani chodziła na przedwojenne filmy z Charles'em Boyer. Córkę oddano do szkoły na wieś, wieczorami kładziono pasjanse. Zając społecznych pani unikała: w kantine graso- weli szpiegowie, w klubach czyhała obmowa, nerwy wszędzie były narażone na szwank. Późny wieczór zastawał ich zmarzniętych w opustoszałym salonie. „Czemu nie nosisz tej ciepłej sukni w kratę?” — pytał pan Z. — „Nie chce mi się otwierać kufra, tak świetnie spakowany” — ziewała pani Z. „Czemu właściwie nie idziemy na górę?” — „Poczekaj jeszcze chwilę, — odpowiadał pan. — Mam przeczuć, że zaraz będzie alarm...” Ziewali więc i czekali.

Kobieta w futerku cofnęła się ode drzwi. Nie chciała, żeby państwo Z. ją dostrzegli. Przed wojną takie typy widywała z daleka w niedzielę, rozparte z godnością na ławkach Alej Ujazdowskich, kiedy pedziła samochodem z Warszawy do Rudzina. Już wtedy niepokoiła się, jaki wyrok na jej narwańskie życie kryje się w ich nieczyliwym spojrzeniu. To dla nich śpiewała na scenach i estradach, dla nich, ziewających przy radiu, zapowiadała ją przez mikrofony, o ich względy dla niej zabiegali impresaria i krytycy. I to oni ze swoich mozolnych zarobków utrzymywali jej leniwą służbę, jej dom, przez całą dobę otwarty dla wariatów i wótczógów, jej samochód, tak często płacący kary za przekroczenie szybkości. Dla nich i oni... A jednak nie znała ich. Śpiewając, zwracała się albo do istot zgoła niewidzialnych, albo do kilku przyjaciół na sali, albo do kogoś, kogo właśnie kochała i kto — dzięki temu — był wszechobecny i nieporównany. Oklaski, ich oklaski, napawały ją mimo to wielkim szczęściem. Czyżby dlatego, że oznaczały „kasę”? W momencie, kiedy tłum zrywał się z miejsc, bijąc w dłonie, a ona chyliła się do ziemi, lśniąca w swoich jedwabkach czy lamach, nie przecie nie miewała w sercu, tylko pokorę. Chętnie oklaskiwałyby razem z publicznością, co, co było poza murami, a może nawet poza światem. Muzykę? Boga? W każdym razie w takich chwilach nie czuła przepaści między sobą a nimi: radoowano się wspólnie. Tym trudniej było pojąć, czemu na ulicach i w kawiarniach patrzyli na nią z zimną ciekawością, jeżeli nie z wyraźną niechęcią.

Państwo Z. należeli do „wdzięcznych słu-

chaczy”. Spotkawszy w pensjonacie londyńskim śpiewaczkę z Warszawy, pani Z. zarumieniła się, pan Z. nerwowo poprawił krawat. Trwał czas jakiś, zanim — uroczystość — podeszli oświadczyć, jak są zaszczytni możliwością poznania osoby, której tyle zawdzięczali w Kraju „uczci duchowych”. Ale kobieta w futerku nie grała w bridża, nie stawiała pasjanсів, nie miała męża, dzieci ani żadnych przeczuć. Nie lubiła także rozpamiętywać zalet restauracji warszawskich i czarów Konstancina. Wkrótce nieufność zapanowała między nią a państwem Z.

Zsuwając futro z pleców, skierowała się przez ciemny hall w stronę schodów. „Kto to? — zabrzmiął w mroku patetyczny szept — Ach, to pani!” Tułsta, siwa zaręczyni pensjonatu stała na półpiętrze z lampą w dłoni, wyjeżdżając krótkowzroczne okazy. Była w szlafroku. „Czy jeszcze tam siedzą na dole? Ktoż to godzina?” Potykając się, zaczęła schodzić.

Urodzona w Szwajcarii, od lat czterdziestu prowadziła w Anglii hotele, pensjonaty, a nawet gospodarstwa prywatne. Tak boleśnie wrażliwa na kurz, śmierci i niedomagania przedmiotów, jak genialny muzyk jest wrażliwy na dysharmonię i arytmie, była geniuszem porządku. Ze ściereczką w ręku od świtu do głębokiej nocy tropiła brud, rdzę, mole, paraliż domowych maszynek i instalacji, dziury w przesłoniadach, zeschnięte liście, plamy i niedomknięcia wszelkiego rodzaju. Tropiła bezinteresownie. Ceny pod jej rękami były umiarkowane, własne dochody skromne. Zbombardowana dwakroć, trzeci to już dom w ciągu wojny wyprowadzała ze stanu nieużywalności. Na zniszczone pokoje, kulawe meble, zarośnięte pokrywami ogrody rzucała się z entuzjazmem rasowego twórcy. Wstając pierwsza, kładąc się ostatnia, nie zważała na ciężki reumatyzm, ani żadne grypy. Pod ulew- nym deszczem biegała w czasie alarmu po mieście zaklinając majstrów o przeróbki i naprawy; wróciwszy, wspinała się po drabinach, pełzała na czworakach — natchniona — z siwym kosmykiem, wystającym spod siatki, machała młotkiem, mierzyła, malowała. Myśl, że woda gdzieś kapie z kranu, albo że w salonie, po odejściu gości, niedopałki będą przez całą noc zatrwały powietrze, nie pozwoliłaby jej umrzeć. Schodziła więc teraz do kancelarii, czyhać na tę chwilę, kiedy Mrs. J. skończy czytać, kapitan Mac kręcić gałki radia, Herr P. nasłuchiwać głosów „stamtąd”, a państwo Z. ziewać. Chwiała głową w smutnej zadumie, szepcząc: „Jakież to niepotrzebne, jak bardzo niepotrzebne!” Tym zdaniem osoba neutralna obejmowała dym z papierosów, radio, nocne czuwania, powieści o czasach wiktoriańskich, tęsknotę, popiół — i nade wszystko: wojnę.

Kobieta w futerku coraz mniej była pewna swego bytu wobec obecności nieobecnych, tak bardzo tego wieczora wyraźnej. Dezapro- bata Szwajcarki, zarówno jak milczenie ludzi w salonie, świadczyły o tej obecności.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Maria Kuncewiczowa

## Polacy w Mirandzie

An Interlude in Spain. By Charles d'Ydewalle. Translated by Eric Sutton. Londyn, Macmillan, 1944. Str. VIII i 212 i 4 nl.

Katolicki dziennikarz belgijski, Charles d'Ydewalle, opowiada we wstrząsającej książce o swoich przeżyciach po więzieniach i obozach hiszpańskich. Najdłużej przebywał w Mirandzie i tu miał sposobność zetknięcia się z licznymi Polakami. Pewien Hiszpan zauważył, że myślą oni tylko o jednym: jak się wy dostać na wolność. „I to była prawda. Ten szczupły i przystojny Polak o oczach antylopy, który mówił po francusku jak student z *Quartier Latin*, był owdziękiem jedną myślą; tak samo inny, który grał na gitarze i zorganizował chór, śpiewający pieśni ludowe. Rzeczywiście mieli tylko jedno na myśli. Pracowali nad tunelem”. Ydewalle dokładnie opisuje dzieje tych podkopów; nauczył się przy tym podziwu dla wytrwałości Polaków. Pierwszy podkop przypadkiem wykryto: „Owego wieczora, w ciemnościach skrzypce polskie w rozdzielający sposób odtwarzały Chopina”, którego przy świetle Polacy nigdy niemal nie grali: nie chcieli mieć świadków swych uez i wzruszenia. Następnego dnia przystąpiono do pracy nad drugim tunelem. Rywalizowały ze sobą dwie grupy Polaków, przy czym oba tunele, jak ramiona nożyc, miały spotkać się poza obrębem drutu kolczastego: „Rzadko w ciągu swych wspaniałych dzieł naród polski zdobył się na tyle dyscypliny”. Tym razem podkop wykryto wskutek nieopatrzności innego Polaka, na pół idioty, który zdyskwali- fikowany przez towarzyszy, rozpoczął robotę nad trzecim tunelem na własną rękę. Nieszczęśliwie srode ukarano, łamiąc mu nos i podbijając oczy. Od zlychowania uratował go major, również Polak, który nadto ośłonił pewnego Żyda, podejrzanego o ujawnienie przed władzami tajemnicy tunelu. „Chopin był na wokalndzie; pijaństwo i żaobne kadencje napełniły ciemność załem i rozpacz”.

Internowani w Mirandzie zajmowali się najróżnorodniejszymi rzeczami. Dwaj Polacy, Kazimierz i Henryk, chemicy z zawodu, założyli małą dystrylarnię; z tuzina butelek czerwonego wina hiszpańskiego wydobywali kwartę tęgiego spirytusu. Kazimierz po pijanemu stawał się niebezpieczny. Na zbiórce udawał, że się ślizga, padał na ziemię wśród krzyków i śmiechu, po czym rzekomo zbierał pełnymi garściami śnieg. Wygłaszał diatriby przeciw dyktatorom i ze słowami: „Abajo los Tyrannos... Abajo los Dictaduras... Abajo... Abajo...” wracał do baraku. Kiedyś Ydewalle go zaczepił: „Był pan wczoraj bardzo wesoły, panie Kazimierzu...” „Nie, panie Ashley, byłem bardzo smutny, i to bardzo smutny. Usiłowałem znaleźć lekarstwo na to, co nazywacie... Jak to nazywacie?” — „Przgnębienie”, „Ważnie. Tak, panie Ashley. Spirytus przepędza je, wprawdzie tylko na chwilę, ale dobre i to...”

Inny Polak, straciwszy nadzieję wydo-

sta się z obozu, zgodził się na proponowany mu przez Gestapo powrót do Kraju. Z tego powodu otoczony był atmosferą niechęci i podejrzliwości, traktowany jak dezterter. Pewnego pięknego poranka zabrała go policja niemiecka i skierowała przez Hendaye do obozu koncentracyjnego na Śląsku. Ale ów Polak od dawna już żył życiem więźnia, który ma zamiar uciec, rozwinął w sobie zmysł spostrzegawczości, w czasie podróży żaden szczegół nie uszedł jego uwagi, w końcu „zniknął, nie pozostawiając śladów, zsunął się w ciemność, cień wśród cieni, w starych sałdatach więzennych. Kiedy przyjechałem do Londynu, był u kresu swoich kłopotów. Przybył z Mirandy drogą okrężną”.

W galerii mirandczyków wyróżniał się pewien Polak z Ukrainy, umiejący rozkoszować się życiem i szczęśliwy nawet w więzieniu. Miał wesołą twarz, ogromne wąsy i ciało, wytatuowane od stóp do głowy: „Syreny, wielkoludy, uhehmione Minerwy, salamandry, potwory morskie, — został hojnie obdzielony wszystkim, co mogła stworzyć wyobraźnia specjalistów w wielkich portach w celu przysposobienia skóry marynarza czy legionisty... Przypominał malowidła na ścianach klasztorów bizantyjskich”. Długie lata w służbie Legii Cudzoziemskiej wyrobiły w nim poczucie honoru i dyscypliny, nauczył szacunku do pracy. W obozie pełnił funkcję ordynansa przy bogatszych więźniach. Prał im bieliznę, gotował, obierał kartofle, czyścił ubikacje, — pracował od rana do wieczora. „Reprezentował bardzo piękny typ człowieka... Zarabiał pracą swoich rąk i zarabiał na wesoło. Pił także na wesoło”. Pić potrafił, jak pije chłop z Turenii w czasie winobrania: dwa litry w południe, trzy wieczorem. „Był to krepki, mocno zbudowany człowiek, jakimś byli Francuzi z czasów Mollera i Henryka IV. Pod pewnymi względami Polska przypomina osiemnastoletnią (*eighteen-year-old*) Francję”.

Autor nie szczędzi najpochlebniejszych słów swoim polskim towarzyszom: „Powiedzmy sobie szczerze, że w takich czasach najprzyjemniejszymi ludźmi są ludzie z wielkiego świata (*greater world*), a wśród Polaków nie mało było ludzi wykształconych. Byli oni dowcipni i inteligentni, znali się na dobrej literaturze”, nigdy nie przestawali być cywilizowanymi ludźmi. Kiedy autor opuszczał Mirandę, „rozmawiali jak roztający się ze sobą dyplomaci, którzy czekali na ekspres na *Gare du Quai d'Orsay* czy *Victoria Station*. „Spotkamy się niebawem”, — mówili ze spokojną pewnością obywateli wielkiej republiki ludzi cywilizowanych”, mimo że nikt z nich nie przypuszczał, iż wydotanie się z Mirandy przed końcem wojny. W szpitalu mirandzkim „lekarz Polak i dwaj ordynansi dokazywali cudów bez grosza wynagrodzenia. Była to naprawdę manifestacja istotnie chrześcijańskiego miłosierdzia”.

Poza tym Polacy przodowali także w futbolu i... w bridżu.

## Polacy w Tobruku

Traveller's War. A Journey to the Wars in Africa, India and Russia by Alaric Jacob. Londyn, Collins, 1944. Str. 549.

Alaric Jacob, korespondent wojenny *Daily Expressu*, w książce, poświęconej wrażeniom z kampanii afrykańskiej i rosyjskiej oraz odwiedzin Indii, opowiada o spotkaniu z Polakami w drodze do Tobruku.

Jacob opuścił Aleksandrię na stawiaczu min „Latonia”, na który załadowano pięciuset żołnierzy polskich, część brygady, jadącej złuzować załogę Tobruku. Okręt był przepełniony, po pokładzie trudno się było ruszać. Niektórzy żołnierze zabrali psy. Pewien sierżant miał skrzypce; dawniej wykładał w konserwatorium warszawskim, obecnie jechał, aby zorganizować w Tobruku orkiestrę. Uwagę Jacoba zwraca żołnierz, wysokości sześciu stóp. W typie napoleońskiego gwardzisty, o wąsach niezwyklej długości, uczesany *en brosse*: wycina właśnie w drzewie polskiego kawalerzystę. „Jest jakby nie na miejscu na tym szybkim okręcie wojennym, spiesząc na pustynię, by wziąć udział w wojnie karabinów maszynowych i samolotów”.

Niektórzy z Polaków należą do „starego” typu chłopów, dostrajonych do rytmu koni i do palby ze strzelb. Obok nich mamy, oczywiście, „pierwszorzędnych myślicieli lotniczych i doskonałych techników”, ale należy przypuszczać, że w chłopim narodzie polskim należą oni do rzadkości. Żołnierze polscy są „wspaniałymi typami” (*splendid fellows*), lecz patrząc na nich, Jacob nie może powstrzymać się od żalu, że Wielka Brytania nie rozpoczęła wojny z powodu Czechosłowacji zamiast z powodu Polski. Tak byłoby lepiej zarówno z punktu widzenia ideologicznego, jak technicznego. „Jakaż ogromna różnica dzieliła rządy Benesa od rządów Becka i Smigłego-Rydzę! Możliwe powiedzieć, że biedni Polacy nie zastępowali na swój reakcyjny rząd z r. 1939, który nie tylko aż do ostatniej chwili spiskował (*intrigued*) z Niemcami przeciwko Związkom Sowieckim, ale również karmił gen. Ironside'a różnymi bajdami, kiedy ten ufał się do Warszawy tuż przed rozpadaniem się burzy, by uzgodnić poczynania sztabów. Być może Brytyjczyk, który pozbył się rządu Chamberlaina dopiero znacznie później, nie powinien rzucić kamieniami”. Ale tak czy inaczej, Czechosłowacja była stosowniejszym *casus belli* niż Polska.

Wszelako — ciągnie dalej Jacob — czterdzieści Polaków pynie teraz do piekła tobruckiego, „by krwawić i umierać za wspólną sprawę”, podczas gdy kwiatowi „nowoczesnej zmechanizowanej armii” czeskiej nie tylko nie dano okazji do walki, ale zmuszono go do robienia broni dla Niemców w tych samych fabrykach, które powinny być pracować „dla nas”.

Oczywiście taki drobny fakt, że — mimo braku „nowoczesnej zmechanizowanej armii” — Polacy *chcieli* się bić z Niemcami, uchodził uwagi Jacoba, podobnie jak uchodził jego uwagi fakt, że mimo rzekomego „spiskowania” nie Polska razem z Niemcami napadła na Związek Sowiecki, ale, wręcz odwrotnie, Związek Sowiecki razem z Niemcami napadł na Polskę.

Jacob uważa się za „marxistę” (z po- ciągiem — jak sam wyznaje — do rozkoszy, zazywanych w krajach, rządzonych przez feudalną arystokrację), znajduje jednak słowa uznania dla Polaków w związku ze wspólnymi operacjami Polaków i Nowozelandczyków, które doprowadziły do zajęcia dobrze bronionych pozycji na zachód i na południe od Gazali. Jacob podziwia znakomitą koordynację działań Polaków i Nowozelandczyków, nie bacząc na różnice geograficzne i językowe, jakie ich dzielą. „Pamiętaj, jak długo — dodaje Jacob — Polacy pomagali w utrzymywaniu fortu tobruckiego, trzeba przyznać, że dokonali wspaniałego dzieła, przeobrażając się z wojsk fortecznych w zmotoryzowaną piechotę — i do tego w pierwszorzędne oddziały szturmowe”.

Jacob opowiada, że kiedy w czasie pobytu Churchill w Moskwie, na jednym z przyjęć u Stalina podano „polską żubrowkę”, mjr. Birse z ambasady brytyjskiej nachylił się do premiera i powiedział: „Niech mi pan wybaczy, ale jeśli mi wolno zrobić uwagę... Nie piłbym tej wódki. Jest bardzo mocna i uważam, że bardzo idzie... do głowy” (*and I have found it very-er-upsetting*). Birse nie był pewny, jak Churchill przyjmie jego uwagę, „ale Winston zauważył łagodnie: „O, doskonale, jeśli pan tak twierdzi...” i nie dotknął wody ognistej”.

Scrutator



# OPINIE ANGIELSKIE

## Polonica londyńskie

Anglia pełna była tego tygodnia polityki zagranicznej. Dwie debaty w Izbie Gmin i dwa tematy, pasjonujące prasę: sprawa grecka i sprawa polska. Najpierw grecka, a potem polska, w porządku chronologicznym, ale także w porządku zainteresowania.

Nie będę omawiał tych spraw merytorycznie. Niewątpliwie będą one komentowane na łamach *W Drodze* wcześniej, niż te słowa mogą dojść. Sądzę jednak, że pewnie czysto zewnętrzne objawy tych spraw i charakterystyka angielskiej opinii publicznej, wyrażającej się o nich, mogą zainteresować i nie przedawniać się.

Sprawa grecka wywołała większe zainteresowanie niż sprawa polska. Z paru powodów. Po pierwsze, jest bliższa Anglikom i lepiej ją znają. Problemy morza śródziemnego mają swoją tradycję w angielskiej myśli politycznej. Po drugie, Anglicy notorycznie grzeszą brakiem respektu wobec własnych rządów i bardzo chętnie i z dużą odwagą cywilną atakują własne błędy i grzechy narodowe. Po trzecie, boją się rosyjskiego przewrątlwienia, więc wszędzie tam, gdzie kwestia rosyjska ma posmak sprawy spornej, omijają ją ostożnie.

Toteż debata grecka, — zarówno w parlamencie, jak i w prasie, — grzmiała i grzmi nieprzerwanie burzą tak powszechnego oburzenia, jakiego nie pamiętam w krótkiej, lecz zato obfitej w burze epoce mego pobytu na tej wyspie. Nadto sprawa grecka wypełniła dramatycznym przebiegiem wypadków i toczy się przy akompaniamencie strzałów i walki. Natomiast sprawa polska została wywołana oświadczeniem Churchilla w Izbie Gmin i debatą parlamentarną. Była zatem operacją „na zimno”. Wynikiem diagnozy i konsylium, a nie nagłego ataku choroby. Mowa Churchilla była przykra i niezbyt miła. Debata, wyjąwszy dwa głosy (posłów Price'a i Macka), była wyrażnie propolska, choć wielu posłów wskazywało z żalem na konieczność polskich ustępstw terytorialnych.

Zarówno debata grecka, jak i polska wykazały na ogół obustronne zainteresowanie Izby: prawicy i lewicy. Ale gros ataków na rząd w sprawie greckiej szło ze strony *Labour Party* i liberałów, a gros obrony Polski ze strony posłów konserwatywnych. Należy jednak stwierdzić, że najlepszą i najodważniejszą mowę w debacie polskiej wygłosił poseł *Labour Party*, Ivor Thomas.

Jeszcze jedno. Niestety, prasa polska i polska opinia publiczna nie zdaly sobie sprawy z tego, że obie sprawy, — grecka i polska, — biegną po linii równoległej; że walka E.L.A.S. przeciw Anglii nie jest tylko walką lewicy (czy nawet komunistów) przeciw rządowi i konstytucji, ale także walką całego narodu o prawo samostanowienia.

*Opinie angielskie* mogą się, na marginesie powstania nowego rządu polskiego, zainteresować pewną sprawą. Zaprzysiężenie nowego rządu zbiegło się ze „zmarłychwstaniem” znanego satyryka polskiego, Mariana Hemara, który, — choć w ostrej opozycji do poprzedniego rządu, — milczał od dłuższego czasu.

Obecnie wznowił swą satyryczną działalność wierszami prorządowymi. Nie! Nie prorządowymi! Nie ma prorządowej satyry. Jest to *contradictio in adiecto*. Nie można być satyrykiem „pro-jakims”. Dwa dotąd ogłoszone wierszki są więc satyrkami na poprzedni rząd. Na rząd, którego już nie ma. Satyrkami!...

*„Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka: Wlebi urządy, cześć króla, lecz sądzi człowieka... Odrzuca cześć wielmożność, a gdy z chłostą czeka,*

*Nie szlachcica, nie chłopca ściga, lecz człowieka.“*

O Krasicim, autorze powyższych wierszy, pisze prof. Chrzanowski, że „jego satyry nigdy nie są paszkylami, ale bądź karą, bądź ośmieszają ulomność ludzką w ogóle”.

I, jeśli, czytelniku, pozwolisz, pragnę zacytować jeszcze jeden wiersz Krasiciego. Tym razem na zakończenie i bez komentarza:

*„Na co pisać satyrę? Choć się zle zbyt wzniósł,*

*Przeistniał! Świat poprawiać, — zuchwałe rzemiosło;*

*Na złość szczerze wychodzi, prawda w oczy kole, Więc już lajać przestane, a pochlebiać wolę...“*

## Badanie opinii publicznej

Rozwój nauk ścisłych dokonał olbrzymich przeobrażeń w naszym życiu. Odkrycia chemii i fizyki, zastosowane w technice, spowodowały tak wielkie zmiany w sposobie naszego życia i otworzyły tak olbrzymie możliwości, że stanęliśmy przed najzupełniej nieoczekiwanymi problemami politycznymi. Jednym z nich jest sprawa ustalania opinii publicznej.

Rozwój techniki spowodował takie ułatwienia transportu i komunikacji, że sto lat temu codzienna podróż londyńczyków do pracy i z powrotem wydawałaby się niemal wędrówką ludów. A skoro sięgnęliśmy już tak daleko w przeszłość, to, kto wie, czy wędrówka ludów nie była w ciągu swych stuleci igraszką dziecinną w porównaniu z jednym bodaj rokiem migracji londyńczyków. Sto lat temu można było z dość prawdopodobnym przybliżeniem określić, co społeczeństwo myśli o sprawach ogólnych. Wystarczyło wówczas zasięgnąć opinii tych niewielu, którym wykształcenie pozwalało na ogarnięcie spraw dalszych, niż własna wieś czy ulica. Dziś, dzięki książkom, prasie i radiu, które docierają równocześnie do wszystkich zakątków świata, i dzięki dziesiątkom innych sposobów kształcenia, udostępnionych masom przez rozwój techniki, ta garstka poinformowanych tak się rozrosła, że nie ma człowieka, który sam, dzięki swym kontaktom osobistym czy nawet dzięki swemu doświadczeniu życiowemu potrafiłby — inaczej jak przypadkiem — trafnie ocenić prąd opinii publicznej. Nie mówiąc wcale o tym, że postęp techniki i nauk ścisłych bynajmniej nie szedł w parze z postępem nauk społecznych, gospodarczych czy politycznych.

Głosowanie do parlamentu, raz na parę lat, także tej sprawy nie rozwiązuje. Poseł w swej parlamentarnej działalności pozostawiony jest własnemu wyczuciu spraw, a opinii publicznej, — często nawet swego własnego okręgu wyborczego, — nie potrafi ani zbadać, ani określić. Prasa także nie jest pewnym wyrazem opinii publicznej. Po pierwsze dlatego, że jest przeważnie partyjna, a więc mimo woli tendencyjna, a po wtóre, bo, — jak obserwujemy, — zmierza w miarę postępu techniki do monopolizacji. W Anglii wyraziło się to powstaniem t. zw. *National Press*, t. j. około dziesięciu olbrzymich koncernów prasowych, które monopolizują między sobą wszystkich angielskich

czytelników gazet, a w Stanach Zjednoczonych, — gdzie technika nie pokonała jeszcze problemu dystrybucji na olbrzymich przestrzeniach tego kraju, wyraziła się ta monopolizacja przez powstanie „instytucji” t. zw. kolumnistów, t. j. dziennikarzy, których artykuły ukazują się równocześnie na łamach paruset gazet. (Najsylniejsi kolumniści Stanów to: Walter Winchell, — którego artykuły są drukowane równocześnie w 712 pismach o łącznym nakładzie 25 milionów egzemplarzy, — Dorothy Thompson, William Shirer, Raymond Gram Swing, — o którym pisałem już w *Opiniach*, — Walter Lippmann, — także znany czytelnikom *W Drodze*, — Drew Pearson i t. d.). Otóż ani tych dziesięć redakcji angielskich, ani ten tużin czy dwa amerykańskich kolumnistów nie mogą być wyrazicielami opinii publicznej. Pomijając wszelką prawdopodobną tendencyjność, jest ich po prostu za mało.

Aby temu zaradzić, aby obiektywnie wyrazić opinię publiczną i aby dać wytyczne zarówno posłom parlamentu dla ich prac, jak i tej części prasy, która rzetelnie chce dociec prawdy i poinformować o niej swoich czytelników, założono — na parę lat przed obecną wojną — szereg t. zw. instytutów opinii publicznej. Główne z nich, to amerykański *Gallup Poll* (który ma swoją filię także w Anglii i którego wyniki są ogłaszane wyłącznie przez *News Chronicle*) i angielska *Mass-Observation*. Pierwszy wyrósł z instytucji, badającej sprawy handlowe (zapotrzebowanie rynków, wyniki kampanii reklamowej i t. p.), drugi, — mniej prozaicznie, — z antropologii.

## Gallup Poll i Mass-Observation

Założycielem i dyrektorem amerykańskiego instytutu badania opinii publicznej jest George Gallup. Jego organizacja zbiera informacje przy pomocy tysięcy specjalnie szkolonych obserwatorów, którzy wypytują ludzi danego stanu, okręgu, zawodu i t. p., lub nawet całych Stanów Zjednoczonych (lub innych krajów, gdzie istnieją filie organizacji) na dany temat. Rezultaty swych badań przesyłają obserwatorzy do centrali, gdzie dokonuje się obliczeń. Najlepiej zilustrować to przykład. Niedawno ogłoszone wyniki ankiety na temat „Co robić z Niemcami?” Obserwatorzy, — a był to brytyjski *Gallup Poll*, — zebrali odpowiedzi na szereg pytań. Oto niektóre z nich:

|                                                                          | Tak | Nie | Nie wiem |
|--------------------------------------------------------------------------|-----|-----|----------|
| 1) Czy Hitler, Himmler i inni przywódcy hitlerowscy powinni być ukarani? | 97% | 2%  | 1%       |
| 2) Czy Niemcy powinny być zmuszone do naprawienia szkód wojennych?       | 88% | 6%  | 6%       |
| 3) Czy należy podzielić Niemcy na szereg małych państwek?                | 56% | 23% | 21%      |
| 4) Czy część Niemiec mają być zaanektowane przez ich sąsiadów?           | 48% | 35% | 17%      |
| 5) Czy należy umieścić narodowców Zagłębie Ruhry i Nadrenię?             | 66% | 17% | 17%      |

Wyniki szeregowe są nie tylko według „tak” lub „nie”. Powyższa ankieta segreguje np. odpowiedzi także według płci i wieku odpowiadających. Trzy ostatnie pytania dały następujące wyniki: na „tak”

|    | meżczyźni | kobiety | wiek: 20-29 | 30-49 | 50— |
|----|-----------|---------|-------------|-------|-----|
| 3) | 59%       | 53%     | 49%         | 54%   | 60% |
| 4) | 49%       | 48%     | 43%         | 49%   | 48% |
| 5) | 66%       | 66%     | 64%         | 66%   | 66% |

Dodatkowe pytanie w tej sprawie zainteresuje Polaków. „Czy jesteś za, czy przeciw oddaniu Prus Wschodnich i innych wschodnich części Niemiec Polsce?”

|             | Tak | Nie | Nie wiem |
|-------------|-----|-----|----------|
| Ogólnie     | 53% | 35% | 22%      |
| Meżczyźni   | 57% | 27% | 16%      |
| Kobiety     | 49% | 23% | 28%      |
| Wiek: 20—29 | 43% | 34% | 23%      |
| 30—49       | 55% | 26% | 19%      |
| 50—         | 54% | 22% | 24%      |

Ważnym elementem ankiety są pytania. Pytanie nie śmie, — rzecz jasna, — zawierać odpowiedzi, ani nawet sugestii odpowiedzi. Nie można np. zapytać: „Czy kochasz Hitlera?”, bo w Anglii 100% ludzi musiałoby odpowiedzieć „nie”, a w Niemczech 100% ludzi musiałoby odpowiedzieć „tak”. To są fakty znane i bardzo jaskrawe. Pytania są więc bardzo skrupulatnie badane przed każdą ankietą. *Gallup Poll* specjalizuje się właściwie w pytaniach kategorycznych, t. zn. takich, na które odpowiedź musi brzmieć: „tak” lub „nie”. Nie jest to jednak jedyny typ pytań. Bywają ankiety, w których wypytującym przedkłada się cały szereg twierdzeń, z których wybrać mają jedno. Bywają wreszcie pytania otwarte z typu „Dlaczego...?” Te pytania są bardziej trudne do opracowania i do oceny.

Jak wielu musi odpowiedzieć na ankietę, by zapewnić jej maksimum ścisłości? Cyfry *Gallup Poll* wahają się między 1500 a 5000. Przy 1500 granica bledu jest w okolicy 4%, a przy 5000 — około 2,5%. Jeśli jednak dokonuje się skrupulatnej selekcji badanych, tak aby reprezentowali wszystkie odcienie społeczeństwa lub badanej grupy, to można zmniejszyć cyfrę wypytanych do paruset.

Wybór pytania, selekcja badanych, instrukcje dla badających, interpretacja wyników i t. p. są dzisiaj wiedzą bardzo skomplikowaną i wyspecjalizowaną. Setki książek, broszur i artykułów ukazało się i ukazuje się na ten temat. Zainteresowanym polecam: *A Guide to Public Opinion Polls* George'a Gallupa oraz *Gauging Public Opinion* Hadley'a Cantrila. Obie książki nakładem *Princeton University Press* w Stanach Zjednoczonych.

Brytyjska *Mass-Observation* operuje inaczej. Obserwatorzy nie ograniczają się do stawiania pytań. Są naprawdę obserwatorami. Badają tematy, a nie pojedyncze pytania. Badają je na podstawie obserwacji, rozmów z ludźmi, których dany temat czy problem dotyczy, intensywnego studium. Jak Harun al Raszyd schodzą *incognito* między tłum obserwowanych. Zanim przystępują do obserwacji, studiują dany problem gruntownie z książek, prasy, statystyk i t. d.

Wynik swych badań ogłasza *Mass-Observation* nie w cyfrach — jak *Gallup Poll* — ale w literacko opracowanych raportach, osiągających rozmiary poważnych tomów. Oto parę tytułów o-

pracowań *Mass-Observation: The Pub and the People*, — studium zwyczajów i obyczajów w angielskich szynkach, *People in Production* — o produkcji wojennej, *People's Homes* — o problemie mieszkaniowym, *The Journey Home* — o demobilizacji. Bardziej szczegółowe informacje znajdują zainteresowani czytelnicy w moim artykule p. t. *Łowcy faktów* w numerze *Nowej Polski* z lutego 1943 r.

## Brytyjski wysiłek wojenny

Potęę Anglii przyjmujemy jako rzecz samą przez się zrozumiałą. Wiadomo, imperium, Indie, Australia, Kanada! Wiadomo: potęga morska i niezmierzona bogactwo! Ale tak samo bezkrytycznie przyjmujemy rozmaite utyskiwania głądziarzy, którzy wygadują na angielski balagan (*muddle*), powolność, zacofanie, Bóg wie, co! Oba podejścia grzeszą zbytnim uproszczeniem. Gdyby potęga Anglii opierała się naprawdę głównie na Imperium, to byłby to taki sam kolos na glinianych nogach, jak carska Rosja. A gdyby Anglia była naprawdę tak zacofana czy niedołężna, jak tego chcą najrozmaitsi krytycy spod ciemnej gwiazdy, to nie mogłaby zadziwić świata tym obrazem siły i potęgi, jaki dzisiaj obserwujemy.

Tak! Obrazem siły i potęgi! Angielskiej także, nie tylko amerykańskiej czy rosyjskiej.

Czytelnicy *W Drodze* odkryli już chyba moją słabość do cyfr i faktów. Oto fakty i cyfry o angielskim wkładzie do wojny. Nie o bohaterstwie, nie o walce i zwycięstwach. Nie o *Battle of Britain*, Wavell'u, Montgomery'm, ale o materialnym wkładzie, prozaicznie przechowywanym na funty, szylingi i pence, na godziny pracy, na tonny towarów, na sztuki produkcji, na suche cyfry żyć ludzkich, złożonych w ofierze.

Naprzód tabela porównawcza:

|                                                   | W. Brytania | U.S.A.       |
|---------------------------------------------------|-------------|--------------|
| Ludność                                           | 47,000 mil. | 136,000 mil. |
| Zołnierzy, marynarzy i lotników                   | 4,500 „     | 11,800 „     |
| Osób cywilnych, zatrudnionych przy pracy wojennej | 17,000 „    | 52,000 „     |
| Ofiar wojennych                                   | 563,112 „   | 529,518 „    |
| Wyprodukowanych samolotów                         | 103,000 „   | 240,000 „    |
| Ciężkich bombowców                                | 10,000 „    | 25,000 „     |
| Wielkich okrętów wojennych                        | 722 „       | 1,150 „      |
| Koszty wojny (w milionach funtów)                 | 16,442 „    | 34,750 „     |

Na tle tej tabeli wyraźnie zarysują się następujące cyfry i wykresy, zacierpnięte z zestawienia, jakie Churchill przedłożył Izbie Gmin w listopadzie 1944 r. (*Statistics Relating to the War Effort of the United Kingdom*, H. M. Stationery Office, London, str. 64).

Anglia zmobilizowała w 1944 r. (w tysiącach): 4.969 żołnierzy i żołnierek, nie licząc jeńców i zaginionych, 281 stałej obrony cywilnej (angielski LOPP) 16.766 mężczyzn i kobiet całonocowo zatrudnionych w przemyśle wojennym i zasadniczym.

Razem: 20.016

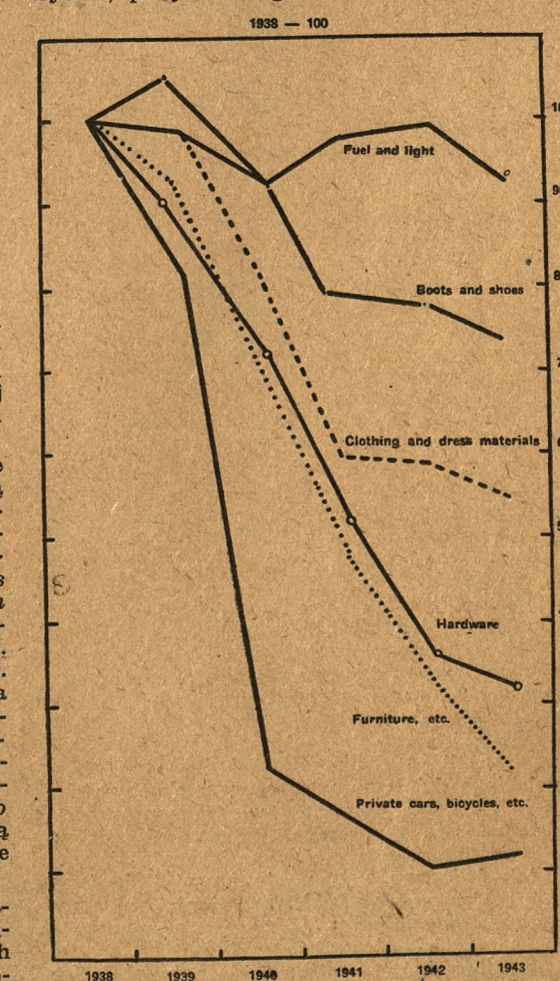
Jeśli się uwzględni, że mężczyźni w wieku lat 14 — 64 i kobiet w wieku lat 14 — 59 jest w Anglii łącznie 32 miliony, to trzeba stwierdzić, że 62,5% ludności jest w wojsku lub na rzecz wojny pracuje. Ta skala mobilizacji jest znacznie większa niż podczas ubiegłej wojny. Szczytowy punkt mobilizacji osiągnięto w 1943 r.

Cyfra 563.112 ofiar wojennych (cyfra z 3 września 1944 r. za pięć lat wojny) rozkłada się następująco: 176.081 zabitych, 38.275 zaginionych, 193.783 rannych, 154.968 jeńców. Prócz tego zginęło: 29.629 marynarzy marynarki handlowej oraz 57.298 ludności cywilnej. Cywilnych rannych było 78.818.

Od września 1939 r. do czerwca 1944 r. wyprodukowała Anglia:

5.744 okrętów wojennych (z tego 722 wielkich jednostek), 25.116 czołgów, 919.111 pojazdów mechanicznych dla wojska, 102.609 samolotów, 3.729.921 karabinów maszynowych.

Bardzo dramatyczną wymowę mają także cyfry pożycia. Zależony wykres najlepiej to uwydatni. Dla wyjaśnienia: określenie *Hardware* obejmuje szkło, porcelanę, artykuły metalowe, elektryczne, piecyki do ogrzewania, do gotowania,



wózki dziecięce i t. d., określenie *Furniture* obejmuje nie tylko meble, ale także dywany, firanki, obicia, instrumenty muzyczne, radia i t. p.

Konsumpcja środków żywności nie wykazuje tak drastycznych zmian, tym bardziej że luksusów — których obecnie prawie że nie ma, — nie zarejestrowano w zestawieniach i tabelach. Przeważnie (wyjąwszy mleko) wykazują one spadek konsumpcji. Nie tak gwałtowny, jak w powyższym wykresie (można żyć bez szkła, ale nie można żyć bez jedzenia), ale zawsze wyraźny.

Spożycie spada, ale podatki wzrastają. Podatki bezpośrednio np. wzrosły z 494 milionów funtów w r. 1938 do 1.781 milionów funtów w 1943 roku.

W tych suchych cyfrach, które nieraz trzeba odwikływać ze statystycznych zawłości, mieści się treść angielskiego wysiłku wojennego. A gdy czytamy te cyfry tutaj, w Londynie, to nie możemy zapomnieć o tym, o czym wielu zapomina za oceanem bezpieczeństwa. O bliznu 1940/41, o bombach zapalających, latających, rakietowych. O tym, że ten wysiłek wojenny nie przyniósł *boom'u* bez cierni. O tym, że także Anglia — jak wszystkie inne kraje europejskie — zapłaciła swą ofiarę w życiach ludzkich i w zniszczeniu.

H. S. Dominik

## Z prasy obcej

## Monarchia i komunizm we Włoszech

Czołowy dziennik nowojorski *The New York Times* przynosi w numerze z dn. 1 listopada ub. r. wywiad swego rzymskiego korespondenta, H. L. Matthews'a z regentem Włoch, księciem Umberto. Wywiad zawiera bardzo ciekawe informacje na temat stosunku monarchii włoskiej do komunistów:

„Monarchia, jak wszystkie instytucje polityczne w powojennej Europie, powinna dokonać ewolucji na lewo, — powiedział mi to dzisiaj książę Umberto na trwającej godzinie prywatnej audycji...”

Rozmowa od pewnego czasu toczyła się dokoła polityki zagranicznej; stwierdziłem, iż książę jest w niej dobrze zorientowany i bardzo się nią interesuje. Ciekaw był w szczególności informacji, co Amerykanie w ogóle, a Waszyngton w szczególności, myślą o Włoszech i jaka jest polityka amerykańska. Moje raczej pesymistyczne odpowiedzi nie wydawały się go dziwić. Gdyśmy mówili o Rosji, rozmowa — rzecz prosta (tak! — przyp. red.) — nawróciła do Włoch i do ich silnej obecnie partii komunistycznej. Książę mówił z sympatią (*pleasantly*) o komunizmie, socjalizmie i Włoszech i ciekaw był mojej opinii osobistej o ludziach, których znalazłem jeszcze z czasów hiszpańskiej wojny domowej, takich jak Palmiro Togliatti i Pietro Nenni. Odbył wiele rozmów z p. Togliatti, uważa, że jest to człowiek zdolny, przyjemny i że problemy dyskutuje się z nim łatwo.

Zasadniczy fakt, że komuniści nie są obecnie antymonarchistami, skłonił mnie do zapytania się go, czy nie uważa, iż poparcie ludzi pewnego typu może być bardziej kłopotliwe niż pozytywne. Podniosłem, iż Prezydent Roosevelt ostatnio odrzucił propozycję komunistów popierania go przy wyborach. Książę Umberto nie chciał się wypowiadać na ten temat, ale wyniosłem zupełnie wyraźne wrażenie, iż zgadza się z tym poglądem, że jednym z głównych niebezpieczeństw monarchii jest, iż pewne elementy, związane z faszyzmem, uważają, iż muszą ze względów bezpieczeństwa stać przy monarchii. Z tego, co ja zrozumiałem, wynika, że on sam zdecydowanie sobie tego nie życzy.

Książę Umberto w pełni zdaje sobie sprawę z tego, że największą przeszkodą dla monarchii jest jej obciążenie przeszłością. Co on i jego najlepsi zwolennicy chcą pokazać, to, iż w przyszłości Włochy mogą być równie dobrze demokratyczne przy reżimie monarchistycznym, co przy republikańskim... Głównym wrażeniem, jakie wyniosłem z całej rozmowy, było, iż uważa on za rzecz oczywistą, iż w przyszłości każdy rząd włoski musi iść nadal na lewo, i że nie widzi on żadnego powodu po temu, dlaczego miałyby to choć w najniższym stopniu kolidować z instytucją monarchii”.

Ogłoszona w bieżącym numerze w autorzowanym przekładzie Tymona Terleckiego „Demokracja parlamentarna” Guglielmo Ferrero jest rozdziałem z ostatniej książki zmarłego w Szwajcarii znakomitego historyka włoskiego, wydanej w New Yorku (Brentanos, 1942) p. t. *Pouvoir les génies invisibles de la Cité*.

## Książki nadesłane do Redakcji

Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, t. 60 Władysław Lubicz-Łoziński. Oko proroka, czyli Hanusz Bystry i jego przygody. Powieść z dawnych czasów. Wydanie trzecie. Jerozolima, M. W. R. i O. P., 1944. Str. 218 i 2 nl.

Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, t. 62 Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), Dzieci. Jerozolima, M. W. R. i O. P., 1944. Str. 244.

Union des Ingénieurs et Techniciens de la France Combattante. Section du Levant. Vingt cinq ans d'effort français au Levant, 1920 — 1944. Ouvrage illustré de 4 cartes, 7 plans ou dessins et 25 photographies. Bejrut, Les Lettres Françaises, 1944. Str. 123 i 3 nl. i 4 mapy.



## KRONIKA FILMOWA

## WĄTPLIWA SIELANKA

„Lassie, come home“ — „The purple Heart“ — „Tęcza“.

Od wielu filmów wojennych czy bogatych rewii znacznie większe powodzenie uzyskał obraz, będący po prostu historią psiego życia. *Lassie, come home*, — taki jest jego tytuł, — przyciąga widzów wieloma zaletami, począwszy od świetnej techniki barw, aż do atmosfery lojalności w stosunkach między psem a człowiekiem, którą dość trudno znaleźć tam, gdzie obie strony są ludźmi. Wreszcie *Lassie* jest świetną psią aktorką, a całość zbliża się bardzo do ulubionego przez amerykańską publiczność rodzaju *true stories*, gdzie choć przygody są interesujące, nie można im zarzucić, że zostały stworzone sztucznie i nie mogłyby się wydarzyć w życiu przeciętnego człowieka.

Wrażenie świeżości, które daje ten film, podobne do uczucia, z jakim opuszczamy *Bambi*, wiąże się w dużym stopniu z pięknym jego krajobrazami. Widoki Szkocji i Yorkshire'u nie ustępują panoramom kanadyjskich lasów i jezior z filmów takich, jak *Samotna sosna* czy *Kapitanowie chmur*, gdzie Technicolor osiągnął dotychczas najlepsze wyniki w oddawaniu barw przyrody.

Obserwatorzy zainteresowani abonamentów pism wiedzą dobrze, jak chętnie przeciętny czytelnik interesuje się życiem arystokracji, dziećmi i... psami. To samo zainteresowanie jużby sięgnęło wielu widzów, by oglądać *Lassie*, która jest przy tym bezprzebieżnie dużej klasy aktorką wśród swoich psich rówieśniczek. Starsi pamiętają jeszcze Rin-tin-tina, ale gdy tamten pies popisywał się w niezwykłych skokach, trudnej tresurze i t.p. efektach, raczej cyrkowych, *Lassie* pyszni się g. r. czystością i naturalnością swych psich reakcji. Wskutek tego temat mimo dawniejszego sfilmowania powieści Londona *Biały kiel* jest prawie świeży na ekranie. Tu bowiem pies nie towarzyszy człowiekowi w jakichś osobliwych przygodach, ale swą własną osobowością, swoim indywidualnym losem wypełnia treść filmu.

Gdy *Lassie* wysuwa się na plan pierwszy, jej ludzcy opiekunowie i przyjaciele zostają trochę w cieniu. Może wskutek tego, a także wskutek szczęśliwego zakończenia ucieczki *Lassie*, widzowie mało zwracają uwagi na stosunki, panujące nie między psem a człowiekiem, lecz między ludźmi, a będącymi tłem akcji obrazu.

*Lassie* jest ulubionym psem rodziny, mieszkającej w małej osadzie w Yorkshire. Mieszkanie schudne i dość obszerne, daje wrażenie pewnego dostatku, mimo to główny żywiciel jest bezrobotny. Do domu zaczyna zaglądać bieda i ojciec zmuszony jest psa sprzedać, mimo protestów i żalu syna, chłopca około lat 12-14, największego przyjaciela *Lassie*. Tu okazuje się, że pies był pewnym luksusem w tej pracownicz rodzinie: książkę, zamilowany hodowca, właściciel słynnej psiarni, zapłacił za *Lassie* aż 15 gwinei. Cena nie była jaka, przed wojną mogło to na dość długo starczyć trzysobowej rodzinie.

*Lassie* uparcie ucieka od nowego właściciela i wraca do domu. Kiedy jednak książę wyjechał do Szkocji, do głównego ze swych latyfundi, między wiernym psem a utracionym domem staje przedział gór, lasów i rzeki, wielu, wielu mil drogi. Mimo to pies ucieka raz jeszcze i po niebezpiecznej wędrówce, która wypełnia główną część filmu, znów wraca do swego małego przyjaciela (Roddy Mac Dowall). Tym razem ojciec chłopca postanawia skłamać, psa ukryć i więcej nie oddać. Książę orientuje się w sytuacji, daje znak wnucce, ażeby nie rozpoznała *Lassie*, i rzecz zostaje szczęśliwie zakończona. A że powodem sprzedaży psa był brak pracy dla żywiciela rodziny, więc poprzedni jej opiekun otrzymuje posadę dozorczy psiarni w majątku księcia.

Zapewne dawniej rozwiązanie takie byłoby pogodne i zadowalające. Ale już po pierwszej wojnie zmieniła się wrażliwość na sprawy społeczne, teraz zaś wzrosła jeszcze bardziej. W starej bałkowskiej powieści *Ojciec Goriot* zapewne dostatanie życie dwóm ukochanym córkom przez handel na czarnym rynku i spekulację w okresie głodowych dni Rewolucji Francuskiej; nasz Sienkiewicz każe Polanieckiemu postawić Bożą Mekę za pieniądze, zrobione na typowym „pasku” zbożowym, — i jakoś nikt ze współczesnych nie wystąpił z oburzeniem na podobną pozborność. Ale dziś już chyba nie sposób nie zauważyć, że gdy jedna rodzina nie ma na chleb z powodu bezrobocia, kto inny przygotowuje wystawę i konkurs rasowych psów, co wprawdzie może wielu ludzi pasjonować, nie jest jednak zbyt ważną funkcją społeczną. *First things first* — wydawanie pieniędzy na luksusowe pomieszczenia psiarni zdaje się świadczyć o nieporządku w społeczeństwie, w którym kto inny nie może zarobić na jedzenie.

I ostateczne rozwiązanie, pomyślne dla psiego losu, nie jest jednak rozwiązaniem pomyślnym społecznie. Dawny właściciel psa zajmie miejsce oficjalisty, usuniętego z posady przez księcia. Przyczyną było dopuszczenie ucieczki *Lassie*, w czym zresztą istotną winę ponosiła wnuczka arystokraty. Zamożni dziaćkowie są jednak pobłażliwi dla wnuczki, a że gdzie jest wina, tam musi być i winny, więc dawny dozorca traci zajęcie. Bilans społeczny pozostaje ten sam: bezrobotny zmienił tylko nazwisko. Toteż przy całej sympatii dla pięknej, wiernej i lojalnej *Lassie* nie podobna nie odczuwać upokorzenia na myśl, że pies staje się przyczyną nieszczęścia jednego, a szczęściem drugiego człowieka, i to szczęścia tej kategorii, co urzeczywistnienie prawa do pracy. Książę-hodowca jest wprawdzie sympatyczny i demokracyczny: nie nie ma przeciw zabawom swej wysoko urodzonej wnuczki z młodym przyjacielem *Lassie*, ale demokracja ogranicza się do demonstracji towarzyskich: księciu nie przyjdzie na myśl, by np. zlikwidować psiarnię i pieniądze, wydawane na psią szkołę, przeznaczyć na szkolną fundację dla ludzi. *Sielanka Lassie, come home* jest zatem tylko radością dla oczu. Nie dla serca.

Produkcja amerykańska wprowadziła dość wyraźny podział w tematach i w „numerach” wrogów, gdy idzie o filmy wojenne. Oto obrazy z życia ruchów podziemnych zajmują się Niemcami, istotne zaś filmy o wojnie — Japończykami. Poza historią szpiegowską, romansem na tle działalności konspiracyjnej i poza walką na morzu,

temat wojenny łączy się, jak dotąd, prawie wyłącznie ze zmaganiem na wyspach Pacyfiku. A że względnie do niedawna Amerykanie znajdowali się w odwrocie i że wojna zaczęła się tam dla armii amerykańskiej poważnymi stratami i porażkami, więc z natury rzeczy sam już przedmiot filmu przesądza jego akcję i rozwiązanie.

Zdawałoby się, iż kinematografia amerykańska nie będzie się zbyt śpieszyć do obrazowania odwrotu żołnierzy U.S.A. Tymczasem co film — to właśnie klęska na Pacyfiku, to podkreślanie przewagi i zaciekleści japońskiego ataku. Z reguły zakończenie jest niepomysłne: wszyscy giną w obronie wysuniętej bazy *Wake Island*, śmiercią obrońców kończy się *Bataan*, wszyscy idą do niewoli po beznadziejnym, bohaterstwie oporze pod *Bataanem* w filmie *Cry Havoc*, ostatni zaś obraz, *The Purple Heart*, zamyka się pochodem przez więzienny korytarz skazanych na śmierć amerykańskich lotników z eskadr, bombardujących Tokio.

Jak wiadomo, część załóg latających fortec musiała bądź to lądować, bądź skakać przy pierwszym amerykańskim ataku bombowym na stolicę Japonii. Lotnicy stali się jeńcami wojennymi, kilku czy kilkunastu Japończyków rozstrzelano dla nasycenia pragnienia zemsty mieszkańców i uspokojenia nastrojów.

Film *The Purple Heart* bierze swój tytuł od amerykańskiej odznaki wojennej, ustanowionej jeszcze przez Waszyngtona, wznowionej obecnie przez Roosevelta, a nadawanej tym, którzy przeleją swą krew w obronie Stanów. Ten symbol wybrano dla otwarcia opowiadania o domniemyanych losach aresztowanych i skazanych pilotów. Sama hipoteza jest dosyć fantastyczna, Japonia, przedstawiana w filmie, — podszycita tania sensacyjnością; mało prawdopodobni dyktarze z Kraju Słońca przypominają Ku-Klux-Klan lub francuskich cagoulardów, lecz nad całym tym sztafem góruje tendencja filmu. Jest nią apoteoza bezwzględności bohaterstwa, apologia poświęcenia życia, pożegnania się z osobistym szczęściem, gdy idzie o honor i szczęście ojczyzny. Wszyscy piloci odmawiają zdradzenia tajemnicy wojennej: miejsca swego startu, i wszyscy otrzymują wyrok śmierci.

Zastanawiająca jest ta bezwzględność, ów gorący kult żołnierza-bohatera, nie dopuszczający choćby jednego wyjątku, zamilowanie w całopalnej ofierze, rezygnację z szansy pomyślnego zakończenia. Na *Purple Heart* zareagował ktoś uwaga, że film ten jest bardziej „polski” w swym nastroju, niż amerykański, — tak bardzo bowiem, jak Polacy, bez wyrachowania, w imię zasady oporu do ostatniego człowieka, rzucają Amerykanie na stos młode żołnierskie życia.

Owe filmy, z reguły bez *happy-end'u*, odbijają w sobie świeży stosunek Stanów wobec wojny. Na jednym froncie zachodnim, czy na jednym froncie Pacyfiku zginęło podczas jednego okresu walki więcej żołnierzy amerykańskich, niż w czasie całej wojny światowej. Jest to procent niki

wobec całej ludności Stanów Zjednoczonych, ale już liczba, dająca się odczuć i wpływająca na nastroje społeczeństwa. To społeczeństwo narodu młodego, będącego jeszcze w stanie formowania się, potrzebuje bohaterów i ich legendy. Film tego właśnie dostarcza, a choć przedstawiane na ekranie walki kończą się amerykańską przegraną, obraz zdaje się mówić: jest to tylko przejściowe niepowodzenie, nie możemy przegrać, gdy mamy tak wspaniałych żołnierzy.

Na koniec, jest tu może jeden poboczny moment propagandowy. Pearl Harbour, Filipiny — zaskoczyły społeczeństwo Ameryki, wzbudziły podejrzenie wobec gotowości bojowej oddziałów i przeczności dowódców, czego zresztą wyrazem był proces ludzi, odpowiedzialnych za Pearl Harbour, dopiero niedawno — w dobie zwycięstw — zakończony uwolnieniem oskarżonych od winy. Otóż podkreślenie bohaterstwa walczących zamieniać będzie uczucie wstydu z porażki w dumę z dzielności żołnierzy. Co miało być szarą plamą przegranej, — stanie się pamiątką bohaterstwa i wojenną legendą, potrzebną narodowi, po raz pierwszy zdającemu sobie sprawę ze swej siły i imperialnej zdolności.

Wśród pisarzy, którym wojna przyniosła popularność, znajduje się i Wanda Wasilewska.

Znacznemu rozgłosowi Wasilewskiej na terenie Związku Sowieckiego towarzyszy próba wejścia na rynek anglo-saski. *Tęcza* ukazała się w przekładzie angielskim, a film, zrealizowany według tej powieści, został dopuszczony przez cenzurę na teren Imperium Brytyjskiego. *New Statesman and Nation*, pismo, znane ze swych sympatii lewicowych, przyznaje książce znaczenie propagandowe, wartości artystyczną określa po prostu jako zero. Film, idący w ślad za powieścią, należy jednak do lepszych wśród wojennych obrazów rosyjskich, na ogół monotonych, powtarzających w kółko ten sam motyw, często wstrząsających jako dokument niemieckiego bestialstwa i cierpień rosyjskiego czy ukraińskiego ludu, ale nieciekawych artystycznie. Na wysokości zadania stał tylko *Leningrad*, gdy idzie o dokument, oraz *Natasza, dziewczyna z Leningradu*, gdy idzie o normalny film z akcją. Ten ostatni zwłaszcza wyróżniał się czystością atmosfery moralnej, unikaniem jaskrawych efektów, naturalnością gry.

Inne na ogół powtarzają schematy akcji, polegające na pokazaniu kilku Niemców, znęcających się nad poddaną ich zarządowi ludnością, paru kolaborantów, gotowych wydać rodaków za pełną miskę, a kończący się atakiem partyzantów na wieś, wymierzaniem sprawiedliwości wobec wrogów ludu i ucieczką Natch. Ten przebieg wydarzeń może być bardzo typowy w rzeczywistości, ale niepotrzebnie stał się jedynym tematem w filmach, obrazujących rosyjski ruch oporu. Brak tu przede wszystkim pogłębienia psychologicznego, a sprawa nazizmu ujmowana

jest bardzo płytko. Niemiec występuje jako pokraczna marionetka, jako tchórliwy sadysta, rzucający broń na widok ataku i skamłający o li-tosć. Gdyby tacy byli Niemcy, gdyby interesowało ich tylko dobre jado, kobiety i wszelkie użycie, trudnoby zrozumieć ich poprzednie sukcesy.

Możliwe, że ten stosunek do postaci niemieckich, owe nadawanie im cech, czasem mało prawdopodobnych, typowo teatralne przejawianie w grze, płynnie stąd, że wyobraźnia nie może podolać podstawieniu jakichś form ludzkich pod pojęcie: Niemiec. Toteż w filmach rosyjskich Niemcy przypominają raczej zwierzęta czy fantastyczne stwory, niż ludzi. W widzach musi budzić się uczucie, że zabicie Niemca jest równie zadepnięciu wstrętnego, szkodliwego robaka. Zrozumiała jest ta reakcja ze strony ludu, ponoszącego tak straszne ofiary, ale ów siew nienawisć może przesądzać o przyszłości: czy ktoś uwierzy potem w istnienie „dobrych”, komunistycznych Niemców, gdyby to było potrzebne?

*Tęcza* nie odbiega od powyższego schematu, ale posiada zato wyróżniającą się fotografię i kilka scen, dotąd w filmach sowieckich niespotykanych, jak np. momenty prześladowania dzieci, wstrząsający epizod Niemca, mierzącego bagnetem w dziecko dwuletnie, czy potajemny po-grzeb chłopca, zakopanego przez matkę i młodsze rodzeństwo pod podłogą chaty. Wydobyta została także atmosfera unoszącego się nad wioską terro-ru, a zdjęcia śnieżycy i naciętych zawianych postaci nadają tym obrazom symboliczne znaczenie. Wprowadzenie natomiast symbolu tęczy wypadło banalnie i sztucznie.

Dwie sceny, zwłaszcza ze względu na propagandowy zasięg filmu, zasługują na specjalną uwagę. Pierwsza z nich to chwila, gdy burzono ludność protestującą przeciw powoływaniu się Niemców i zdrajców na religię i Boga. — To nie wasz Bóg, tylko nasz Bóg! — odpowiadają — gdyż Bóg jest miłosierny i sprawiedliwy. — Jest to najśliszszy, jak dotychczas, filmowy wyraz nowego stosunku sowieckiej władzy do jednoczących narodowo wartości religij.

Drugi zaś moment to zakończenie, w którym sowiecka kobieta domaga się dla Niemców nie śmierci, lecz pracy i takiego życia, by ze łzami w oczach błagali o śmierć, jak o wybawienie. W tym również jest perspektywa przyszłości.

Gdy jednak przyjdzie do oceny całości, wy-daje się, że pomimo wspomnianych zalet bardziej przemówi do europejskiego widza *The Moon is Down*. Tam występuje konflikt ideologiczny, starcie dwóch systemów filozoficznych, przeciwstawienie miłości bliźniego — teorii Herrenvolku. Patoś zaś *Tęczy* ogranicza się do napięcia walki napastowanego narodu z okrutnym najeźdźcą.

Jan Martyka

## PRZEGLĄD POLITYCZNY

To nieprawda, jakoby przemianowanie lubelskiego Komitetu w rząd tymczasowy było tylko zmianą szyldu. Przy okazji przemianowania w składzie osobowym Komitetu zaszyły bardzo wymowne zmiany. Są one bodaj że charakterystyczniejsze od samego faktu przemianowania. Określić je można krótko: oto podczas gdy w dawnych Komitecie starano się zachować przynajmniej „pozory” równowagi sił między komunistami (P.P.R.) a przedstawicielami innych partii, w nowym ciele rządzącym komuniści objęli wszystkie kluczowe stanowiska. Kto nie orientuje się w tej różnicy, ten nie zdaje sobie sprawy z prawdziwego politycznego znaczenia sylwestrowego aktu Lublina.

W tymczasowym rządzie lubelskim członkowie P.P.R. mają w swym ręku wojsko, policję, skarby, oświatę i tekę wicepremiera. Godność prezydenta złożono w ręce starego działacza komunistycznego, p. Bieruta. Dodajmy jeszcze, że nie ufając widocznie gen. Żymierskiemu, obstawiono go dwoma zastępcami, oficerami sowieckimi, oraz że przedstawicielem Komitetu-rządu tymczasowego w Paryżu jest również komunistą, p. Jedrychowski. W Komitecie było kilka nazwisk ludzi, którzy co prawda nigdy nie odgrywali w politycznym życiu Polski przedwojennej roli pierwszoplanowej, ale których nazwiska były przynajmniej na polskiej giełdzie politycznej notowane, takich jak dr Drobner czy dr Sommerstein. I tych właśnie ludzi przy przemianowaniu Komitetu w rząd wyrzucano za burte. Ludzie, którzy pozostali w tym rządzie, jako rzekomi przedstawiciele innych stronnictw polskich, to nazwiska zupełnie nieznane, „szarzy” ludzie polskiego życia politycznego. Kto przed rokiem jeszcze słyszał cośkolwiek o p. Osubka-Morawskim albo o p. Januszu? Jeśli ci panowie i zajmowali się działalnością polityczną, to co najwyżej w skali powiatowej. A dziś jednego z nich ubrano w godność premiera, a drugiego — w godność wicepremiera tymczasowego rządu. Niccoś tych ludzi podkreśla jeszcze, i tak tuż wyraźna z rozdziału tek, przewagę w tym rządzie komunistów. Wszyscy mieliśmy podejrzenia, że Komitet to pomost do przekształcenia Polski w sowiecką republikę komunistyczną, ale nie przypuszczano na ogół że ten pomost jest taki spadzisty, że proces ten pójdzie tak szybko, gwałtownie i tak — bez mała — jawnie.

Cóż on oznacza? Przede wszystkim oznacza on dla Moskwy pewną klęskę polityczną. Oznacza mianowicie, że na platformie Komitetu nie udało się porozumienie z żadnym polskim stronnictwem politycznym. Można twierdzić, że Rosjanie, tworząc taki właśnie rząd, składający dowód tego, że nie sobie że światła nie robią, tym nie mniej jest rzeczą oczywistą, że nazwisko jednego z dwu-tych polskich działaczy politycznych, choćby działacza lekkiej wagi, ale z prawdziwego zdarzenia, byłoby im bardzo potrzebne. I oto ani jednego działacza takiego nie znalazł. Co więcej, rozkład tek świadczy o tym, że nawet i do tych działaczy, których wydobyci z nicości, aby re-prezentowali socjalistów ludowców czy w ogóle „demokratów”, Rosjanie nie mają zamiaru. I że postanowili oddać wszystkie takie resorty, które decydują o tym, kto ma mieć władzę w ręku,

swoim ludziom, swoim z przekonani politycznych, a czasem także i z obywatelską.

Zadne frazesy o „grupie emigrantów” nie potrafią zakryć tego oczywistego faktu, że skład nowego rządu świadczy o zupełnym fiasco porozumienia się Rosjan poprzez Komitet z narodem polskim. I niewątpliwie Kreml zdaje sobie z tego sprawę. P. Mikolajczyk pisał niedawno w *Jutrze Polski*: „Rosja Sowiecka musi zdać sobie sprawę, że komunikacja narodu polskiego może być przeprowadzona tylko terrorem, ale w tym wypadku Polska, granicząca z Niemcami, nie mogłaby odegrać roli jednego z elementów bezpieczeństwa, działającego przeciw możliwej agresji niemieckiej. Sam Stalin uświadamia to sobie i oświadczył mi, że „Polska nie może być komunistyczna, gdyż ten system jest odpowiedni dla Rosji, lecz nieodpowiedni dla narodu polskiego”.

Stworzenie rządu lubelskiego oznacza tu radykalną zmianę stanowiska. Tak właśnie wyglądały rady, jakie utworzone w r. 1940 na Litwie, Łotwie i Estonii, w tym krótkim czasie, jaki istniał po wkroczeniu do tych krajów Armii Czerwonej, a przedtem, zanim plebiscyty nie przypieczętowały wchłonięcia tych państw przez ZSRR. Rząd lubelski to pójście po tej samej drodze. Kto mówi A, ten musi powiedzieć i B. Rosja w ten sposób otwarcie, zadeklowała, że zdecydowała się rządzić Polską poprzez partię, wobec której przynajmniej większość narodu polskiego jest wroga, że są to — krótko mówiąc — rządy wbrew narodowi polskiemu.

Analizie z sytuacją grecką narzucają się tu same przez się. Analogie, ale także i sprzeczności. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gen. Plastiras jest tu w stu procentach probrzytyjski, można nawet podejrzewać, że jest w sprawach greckich bardziej probrzytyjski od premiera Churchill. Nie ulega też wątpliwości, że przy pomocy paru dwyjżyli brytyjskich możnaby całą Grecję z organizacji E.L.A.S. „oczyszczyć” i co ważniejszych „buntowników” powywieścić. Anglicy jednak — którym czego, jak czego, ale zmysłu politycznego trudno odmówić — bronią się przed takim rozwiązaniem, jak przed wielką klęską polityczną. Rozumieją oni, że takie rozwiązanie to wprowadzanie w Grecji reżimu terroru i zrobienie z tego kraju na długie lata ośrodka zapalnego Europy. Dlatego postępowani gen. Plastirasa atakuje nie tylko brytyjska prasa labourystowska, ale i *Times*, którego trudno podejrzewać o sympatyzowanie z ideologią E.L.A.S. Anglicy rozumieją bowiem, że zaprowadzenie w Grecji uciążliwego nokońcu wewnętrznej jest ważniejsze od takich czy innych sukcesów — pozał się Boże — prestiżowych.

Kryzys polski ma charakter analogiczny, z tymi jednak poprawkami, że po pierwsze Polaków jest więcej niż Greków, po drugie zaś, że podczas gdy Grecja znajduje się na peryferiach Europy, my leżymy w samym jej centrum. Próba zrobienia z Polski jeszcze jednej republiki sowieckiej, to nie tylko strasliwa tragedia dla narodu polskiego, to także stworzenie w samym sercu Europy ośrodka zapalnego, który może się okazać bardzo niebezpieczny dla przyszłego pokoju.

Czy na przyszłym spotkaniu Churchillowi i Rooseveltovi uda się wytłumaczyć marsz. Stali-

nowi, by cofnął się z tego niebezpiecznego zakrętu? *Qui vivra, verra*. Jakkolwiek by było, ostatnie posunięcie rosyjskie w sprawie polskiej — wbrew pozorom — podkreśla jeszcze tę prawdę, że dla Rosji droga do porozumienia się z narodem polskim prowadzi wyłącznie przez Londyn.

Próby równoczesnych ofensyw niemieckich zarówno na wschodnim, jak i zachodnim froncie, były niespodzianką. Nie doprowadziły one do przełamania frontów, — ostatecznie, na wojnie nie ma cudów, — ale tak na jednym, jak i na drugim froncie osiągnęły pewne początkowe sukcesy i — co najważniejsze — wprowadziły na pewno dużo zamieszania w plany ofensywne Sprzymierzonych, a niektóre z tych planów zapewne i pokrzyżowały. Świadczą one i o tym, że siły oporu niemieckiego nie doceniałyśmy, i o tym, że Niemcy na obu frontach walczą z fanatyzmem i z wyjątkową zaciekleścią, skoro mimo nieprzejścielnej przewagi technicznej mogli się porwać na działania zaczepne.

Ta ostatnia okoliczność jest szczególnie godna podkreślenia. Zaciętość niemiecka tłumaczy się tym, że Hitler trzyma Niemców terrorem, że zdołał zniszczyć u siebie całą opozycję. Jest to tłumaczenie powierzchowne. Sytuacje stwarzają ludzi, a sytuacja niemiecka jest rozpaczalna, a więc taka, w której ruchy opozycyjne powinny się tworzyć żywiłowo. Hitlerowi jednak udało się na froncie propagandy wewnętrznej znacznie więcej: udało mu się przekonać Niemców, że walczą w tej chwili już nie tylko o taki czy inny pokój, ale o samo istnienie. I trzeba przyznać, że mu to alianci mocno doniosli. Nawet jeśli się bowiem uważa za rozsądne i politycznie celowe projekty podziału Niemiec, to trudno uznać za dowód mądrości politycznej rozglaszanie tych projektów już teraz. Prawdy polityczne są zawsze prawdami względnymi; to co mogło być objawem rozumu politycznego, wypowiedziane w r. 1945, wypowiedziane w r. 1944 może się okazać gaffa.

Trzeba stwierdzić, że zaciętość tutaj poważnie niecierpliwość Rosji załatwienia sprawy wschodniej granicy polskiej już teraz, nie czekając na koniec wojny. Skoro się bowiem wysunęło ten problem graniczny, trzeba było też już teraz postawić problem zachodnich rekompensat. Propaganda niemiecka tylko czekała na taką gratkę: alianci w ten sposób bowiem skutecznie wyreczyli ją tłumaczyć Niemcom, że walczą już nie tylko o zachowanie reżimu hitlerowskiego i o jego politykę, ale i o to czy Wrocław i Szczecin będą niemieckie, czy nie. W ten sposób klęski niemieckie, zamiast pogryźć reżim hitlerowski w oczach mas niemieckich, sementowały jeszcze ten mas z reżimem.

12.I.1944.

ww.

Wydawca: Ignacy Pokrywa  
Redaktor: St. A. Balicki  
Adres Redakcji: Polish Information Centre  
Jerusalem. Bezalet Street, House Valero  
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.